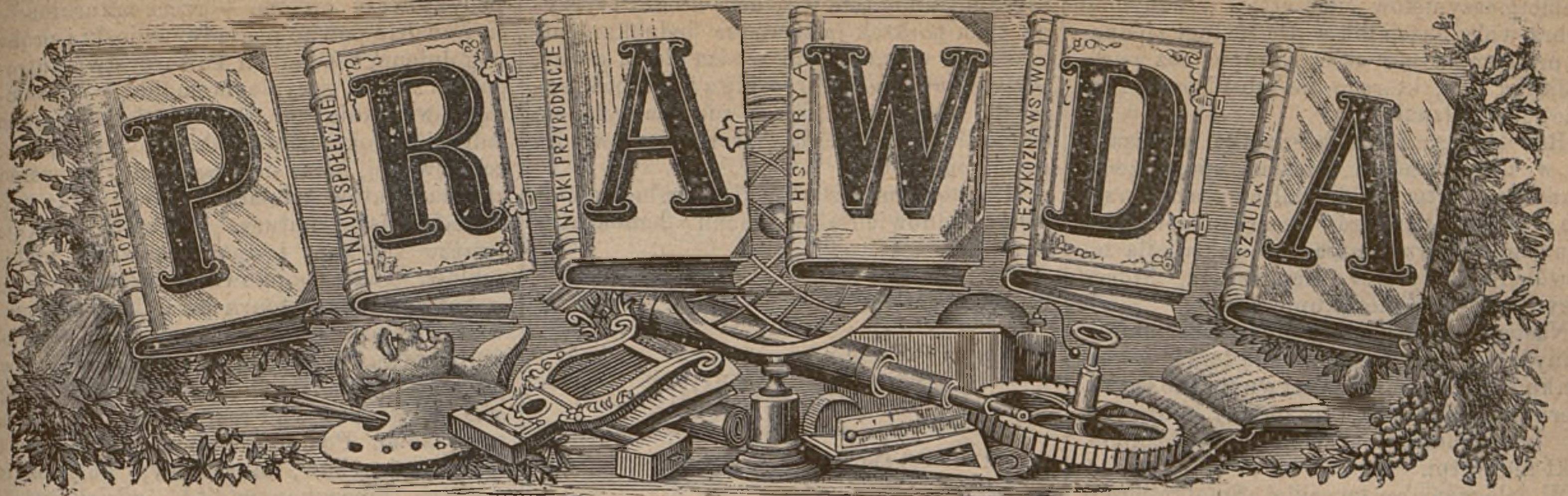
№ 25. Warszawa, dnia 23 (11) Czerwca 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Przypominamy szanownym abonentom nadchodzący termin przedpłaty kwartalnej.

POLITYKA.

PRAWDOPODOBIEŃSTWA.

Gdy Wilhelmowi I narodził się prawnuk, cała Europa podziwiała moc dynastyi Hohenzollernów, mającej w pogotowiu cztery pokolenia głów do korony. Dopóki żył i żył długo Wilhelm I, Niemcy wydawały się gmachem ściśle zmurowanym i na silnej podstawie opartym; zaledwie jednak wstąpił na tron jego syn, człowiek łagodny i nietrzymający steru żelazną dłonią, wypłynęły na wierzch wszystkie sprzeczności, najrozmaitsze wrogie sobie żywioły, a w ich boju zaczęła pękać owa wychwalana spójność.

Panowanie Fryderyka III trwało kilkanaście tygodni, a jednak nie pozostało bez głębokiego wpływu na losy Niemiec. Krótki ten bowiem czas wystarczył do otworzenia ujścia zatamowanym prądom, które nurtują w łonie narodu i rozpierają obecny jego ustrój. Gdyby po Wilhelmie I nastąpił był bezpośrednio Wilhelm II, żywioły liberalne w Niemczech, tłumione długim uciskiem, przeszłyby z jednego berła pod drugie bez szemrania i ochoty do ruchów energiczniejszych. Parumiesięczne światło, które od tronu grzało liberalizm, ośmieliło go i dodało mu otuchy. Wilhelm II, jeżeli pragnie i zamierza naśladować dziada, musi osłabić skutki wpływu ojca, a nie dokona tego bez ciężkiej pracy. Jego odezwa do narodu jest pasmem ogólników, ale widocznie przytłumione w nich tętna reakcyjne i uwzględniona pamięć rządów „ludzkich"— jak ochrzczono panowanie nieboszczyka. „Królewskiemu męczennikowi, którego serce biło dla wszystkiego, co *wielkie i piękne*, przeznaczono kilka tylko miesięcy żywota na stwierdzenie szlachetnych przymiotów ducha i serca, które zjednały mu *tkliwą miłość ludu*. O cnotach, które go zdobiły, o zwycięztwach, które na polach bitew niegdyś odniósł, będzie tak długo szła pamięć z pokolenia w pokolenie, jak długo bić będą niemieckie serca, a niegasnąca nigdy chwała otoczy aureolą *rycerską jego postać* w historyi narodu. Powołany na tron moich ojców, przyjąłem rządy w obliczu króla nad królami i przysiągłem Bogu wedle przykładu przodków, dla mojego ludu być sprawiedliwym i *łagodnym* księciem, pielęgnować w sobie pobożność i bojaźń bożą, bronić *pokoju*, otaczać opieką dobro kraju, dla *biednych i uciśnionych* być pomocą, dla *prawa wiernym stróżem*."

W słowach tych, brzmi nuta tych dźwięków, którymi zwiastował swe panowanie Fryderyk III. Można później podłożyć pod nie czyny wszelkiego rodzaju, nawet libretto hymnów Bismarkowskich, ale tymczasem są one co najmniej szeregiem akordów, rozwiązujących i łagodzących ostrą niezgodę tonów polityki dziada i ojca.

W ośmieleniu żywiołów liberalnych i w doraźnem oddziałaniu na zamiary syna spoczywa ważność krótkich rządów Fryderyka III. Podkopał on ślepą wiarę większości narodu w jedyną zbawczość dyktatury kanclerskiej, przekonał, że w Niemczech inaczej, „po ludzku" rządzić można, dźwignął upadłych na duchu, pokrzepił zniechęconych, dał swoim poddanym przedsmak życia bez ciężkiego jarzma i dokuczliwej opieki. Z tym wpływem w najbliższej przyszłości liczyć się muszą zarówno monarcha, jak i jego pierwszy doradca. Czy długo?

Na to pytanie tajemnicą okryty charakter Wilhelma II nie daje nam żadnej odpowiedzi. Młody wiek nie pozwolił mu ani odsłonić się, ani wypróbować, a kredytu moralnego legendom, anegdotom i plotkom, po tylu dowodach przemiany usposobień następców tronu, gdy zostaną jego posiadaczami, trzeba udzielać bardzo ostrożnie. Z ujawnionych wszakże i wiarogodnych rysów wolno wyprowadzać prawdopodobne wnioski i przypuszczenia. Otóż z tego, co o Wilhelmie II istotnie wiemy, zdaje się, że on będzie przedewszystkiem hetmanem armii. Czy on w tym kierunku pójdzie zaraz, czy później — jest to kwestyą drugorzędną i zależną od warunków zewnętrznych. Ale to pewna, że żołnierz z własnej woli pragnie być żołnierzem, że wódz armii, posiadający wielką ambicyę i wielką władzę, uczuwa ciągle potrzebę działania i zyskania sławy na jej czele, zwłaszcza gdy inne pola czynu go nie nęcą a nieukorzone żywioły spokojny byt utrudniają. Wobec ścierania się prądów wewnątrz a naprężenia stosunków zewnątrz cesarz niemiecki musi być albo Wilhelmem I, albo Fryderykiem III, albo niczem. Odczuły to wrażliwsze gazety ruskie i francuzkie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Domordowany przez chorobę i może boleśniejszą od niej niegodziwość swej najbliższej służby politycznej, która z zapomnieniem o wszelkich obowiązkach wsządała konającemu kolce, zgasł Fryderyk III w chwili, gdy wypędzonego przezeń ministra Puttkamera koledzy mieli uroczystym obiadem wynagrodzić za niełaskę monarszą. Najlepszem osądzeniem moralnej wartości rządów ks. Bismarka i jego protektora jest powszechny żal nad grobem człowieka, który jako cesarz nie wymówił ani słowa, nie spełnił ani jednego ważnego czy-

nu, tylko leżał w łóżku, cierpiał, oddalał od siebie maszynistów ciemięztwa i oddychał dobrą wolą. Jeżeli tak wątłe zasługi zjednały mu sympatyę w całej Europie, cóż warta polityka tego, którego nie lubił i przez trzy miesiące kiełznał?

Rewizya gardła nieboszczyka wykazała, że w niem osiadł i straszne spustoszenie sprawił rak, który oddziałał na płuca i przez nie sprowadził śmierć. Cesarz zmusił Mackenziego do przyznania tego faktu, dla zadowolenia lekarzów niemieckich, którzy przy takiej dyagnozie upierali się.

Następca Puttkamera dotąd niezamianowany a domysły posuwają się teraz w kierunku skrajnie konserwatywnym. Że w tym kierunku pójdą wszelkie zmiany, może tylko względami przyzwoitości opóźnione, nikt nie wątpi.

W delegacyi austryackiej Smolka uczcił zgon Fryderyka III obszernem wspomnieniem. I polityczne i ludzkie były jego słowa żalu na tę trumnę rzucone; ale czysto niemieckim patryotyzmem brzmiały te, któremi jednocześnie poprzednią okadził. Pojmujemy, że stanowisko nakłada pewne przymusy, ale zdaje nam się, że Smolka przeszedł granice potrzeby w swej modlitwie na mogile, która mu łez szczerych nie wyciskała i którą w swej przemowie mógł całkiem pominąć. Zaiste, to magiczna sztuka tak odegrać rolę niemca, będąc polakiem w austryackiej skórze. Przemiana gatunków galicyjskich, obdarzonych godnościami państwowemi, zdolna wprawić w zdumienie każdego przyrodnika. Najwrażliwszy odczynnik chemii politycznej nie odkryłby w Dunajewskich i Smolkach krwi ich gniazda. Co to za pyszni niemcy!

Hr. Kalnoky w delegacyach usiłował uspokoić strwożonych śmiercią jednego i wstąpieniem na tron drugiego cesarza niemieckiego, zapewniwszy, że zmiana ta ani nie narusza potrójnego (z Włochami) przymierza, ani nie zmieni symfonii koncertu europejskiego. Jeszcze raz minister powtórzył główne, częstem użyciem wytarte oklepanki o nadziejach pokoju, o dowodzie jego bezpieczeństwa w podwyższeniu wydatków na wojsko i tym podobne brednie, wypowiadane i słuchane od pewnego czasu z kuglarską obłudą i dziecinną naiwnością.

Boulanger odezwał się jak postrzelony derkacz z krzaku, polecając listownie wybór Derouleda. Tymczasem zdaje się, że republikanie stracą jeden posterunek, tak jak ich współwyznawcy w Belgii na korzyść ultramontanów stracili dwa. Przyczyna tych porażek jest zawsze jednaka: podczas gdy wolnomyślni wodzą się za czuby, *tertius, qui gaudet* zręcznie z ich kłótni korzysta. Czerwona rzesza nie nauczyła się od czarnej godzenia przeciwieństw dla wspólnego dobra.

Ministeryum hiszpańskie uległo częściowemu odnowieniu w duchu demokratycznym.

BADANIA NAUKOWE.

SOCYOLOGIA.

Ch. Letourneau: *l'Evolution du mariage et de la famille*, Paryż.

Najświeższa praca znanego socyologa francuskiego, poświęcona rozpatrzeniu początków małżeństwa i rodziny, przedstawia zaiste ciekawe i pouczające zjawisko. Z tego właśnie powodu chcielibyśmy powiedzieć o niej słów kilka. Mianowicie, pod wpływem rozwoju nauk przyrodniczo-antropologicznych i właściwej im metody indukcyjnego uogólniania, wśród grona badaczów, zebranych dokoła paryskiego Towarzystwa antropologicznego, powstała między innemi grupa w zamiarze zbudowania t. z. socyologii etnograficznej (Letourneau, Girard de Rialle i in.). Wyklęto „wykwintne, lecz daremne rozprawy i czcze uogólnienia,“ prowadzące jedynie na manowce pseudo-socyologii, i nazwano je szyderczo zbieraniem plonu przed dokonaniem zasiewów. Ile w tem tkwiło buntu przeciw apriorystycznym wywodom socyologicznym, chociażby Comte'a, nie będziemy rozbierali. Wykończonym systematom historyozoficznym, obracającym się w zakresie ludów dziejowych i na takiej podstawie wznoszącym swe rozumowania, przeciwstawiono gromadzenie faktów życia społecznego z pośród wszystkich grup rodu ludzkiego — socyologię na zasadzie etnografii. Czem winna być ona obecnie, wypowiada we wstępie do swej pracy Letourneau: „Jest to przedewszystkiem zbiór dokumentów, zresztą ciekawych i pouczających. Dokumenty te, cierpliwie wybrane z pism etnografów, podróżników, prawników, historyków, ułożyłem, jak uważałem za najstosowniejsze; podyktowały mi one — rzecz naturalna — tu i owdzie pewne poglądy, wnioski i próby uogólnienia.“ Zdaniem Towarzystwa antropologicznego, socyologia znajduje się zaledwie w stanie zarodkowym i jest bardzo daleką od określenia jakichkolwiek praw; co najwyżej, może się poszczycić, iż wśród chaosu faktów zdołała wyłowić kilka powszechniejszej natury. Nauka ta oczekuje jeszcze zebrania i uporządkowania materyałów. Takie pojmowanie rzeczy widać w każdej pracy Letourneau'a; jego najpierwsze dzieło (*Socyologia na podstawie etnografi*) przedstawia gołe nagromadzenie faktów pożycia gromadzkiego, ułożonych według sfer zjawiskowych i ras, wśród których je zauważono. Podaje objawy kolejno wśród melanezyjczyków, murzynów, polynezyjczyków, amerykanów itd., gdzieniegdzie nawet odpowiednie wypadki ze świata zwierzęcego. I tej zasadzie dotychczas się nie sprzeniewierzył.

Można się zgodzić, iż socyologia etnograficzna francuska za zbyt nizko ceni dotychczasowy stan nauki, lecz nie wiele da się zarzucić samej metodzie. Przekładamy ją nad snucie apriorystycznych rojeń bez podstawy faktycznej. Doniosłość badań Tylora, Lubocka i in. spoczywa właśnie na podobnem przestrzeganiu indukcyjnego uogólniania. Chodzi tylko, żeby owa podstawa była prawdziwa oraz o pamiętanie, że nie ilość, lecz jakość spostrzeżeń rozstrzyga o ich znaczeniu. Tymczasem Letourneau nie zwrócił na to należytej uwagi. Zbierał materyał z rąk drugich, bez wypróbowania jego wartości. Powstawały obrazy, niekoniecznie odpowiadające rzeczywistym stosunkom ludów pierwotnych—mamy więc wśród nich i urządzenia feodalne i bezrząd i despotyzm jednostek nad ogółem, chociaż same warunki zarobkowania wykluczają możliwość czegoś podobnego. Przytem, pod wpływem teoryi darwinowskiej, socyolog francuzki wziął stosunki gromadzkie szympansów i in. człowiekopodobnych małp za klucz do pojęcia uspołecznienia veddahów, fuegeńczyków, australczyków — postępowanie zgoła *à priori*, gdyż fakty z życia małp są tak mało i tak powierzchownie znane, iż nie wypadałoby przypisywać im zbytniej wagi. Atoli, jednocześnie z powstawaniem we Francyi socyologii etnograficznej, w świecie nowym wyrastała nauka społeczna, oparta na tychże podstawach, lecz inaczej biorąca się do rzeczy

---

1)

NASZ ANTONI

przez

Emila Marriota.

— Gdybym tak był poważnym i surowym, jak nasz proboszcz, albo tak lekkomyślnym, jak młodszy mój kolega, z pewnością nie zdarzyłoby mi się nic podobnego — myślał raz wikary jednego z pomniejszych kościołów wiedeńskich. Ale oto skutki dobroduszności.

Wodził wzrokiem po pokoju, który, po raz pierwszy, wydawał mu się bardzo szczupłym; potrząsając głową, wszedł do sypialni i zauważył, że ta jeszcze jest mniejszą.

— Gdzieżby tu stanęło drugie łóżko? — pomyślał.

— Nie mówiąc już o nieładzie i zamieszaniu... Ja, co tak przyzwyczajony jestem do samotności i ciszy... Nie, to niemożliwe, stanowczo niemożliwe.

Wrócił do saloniku, nadzwyczaj skromnie, ale schludnie urządzonego. Na meblach pyłku żadnego, firanki śnieżnej były białości, a mała żardyniera w najpiękniejszym porządku. Wszędzie panowała owa skrupulatność i czystość, które nierzadko napotkać można w mieszkaniach kawalerskich i których brak często zupełny tam, gdzie przebywają pełne wdzięku niewiasty i miła dziatwa. Wikary okiem miłości strwożonej objął pieszczone skarby swoje i jakby stając w ich obronie, rozpostarł ręce nad kwiatami.

— Nie, tego nie uczynię ze względu na was i na siebie! — wyszeptał — byłby to kres waszego i mojego spokoju.

Wikary miał prawo nazwać się człowiekiem dobrodusznym; takim znali go wszyscy wierni, chodzący do jego kościoła, wszyscy żebracy i nieszczęśliwi. Nie bały go się dzieci ze szkółki, w której wykładał religię, skoro zaś rozgniewał się czasem, uciekały się zwykle do łez, bo wiedziały, że łzom oprzeć się nie był w stanie. Stare dewotki zachwycały się nim dlatego, że litanię odmawiał nadzwyczaj pięknie i wyrażnie, a kazania jego wielce były lubiane z powodu swej łagodności i krótkości. Mnóstwo też osób spowiadało się przed nim; w konfesyonale zawsze był pobłażliwym i cierpliwym, oraz, co znaczy najwięcej, zawsze uważnym, za czem poszło, że wszyscy, a raczej wszystkie, czujące potrzebę spowiedzi, w wieku pomiędzy czterdziestym a siedemdziesiątym rokiem, jego obrały za doradcę sumienia swojego, gdyż i na tem polu panie uprzejmej wymagają „obsługi.“ Drugi, młodszy wikary kościoła, miał zwyczaj zasypiać niekiedy, gdy mu tak podeszłe przyszło spowiadać owieczki; powoli przeto stracił szanowną klientelę. Jeszcze tylko przychodziły do niego młode dziewczęta, pucołowate buziaki, o których mówić nie warto — gdy przeciwnie nasz wikary miał za sobą wszystko, co było dojrzałem, statecznem, zdawna pełnoletniem. Serca kobiece umieją być wdzięczne; dobroduszny księżyna więc ciągle odbierał podarunki, zaproszenia i wizyty. Wiele mężatek i panien udawało się do niego po radę i na gawędkę. Był to może jedyny mężczyzna, do którego, dzięki jego powołaniu, uciekać się im było wolno i który odepchnąć ich nie miał prawa. Przyjaciel duchowny zawsze jeszcze jest lepszym, aniżeli żaden; wikary nasz nadto dosyć jeszcze był młodym, miał zaledwie czterdzieści lat i — szczególniej z tyłu — nawet przystojny. Raz nabożna, młoda jakaś dziewczyna omal nie zakochała się w nim. Spostrzegła go, jak klęczał u ołtarza i podobała się jej bardzo jego postać o wązkich ramionach, włos ciemny i niedługi, spuszczona, szlachetnie ukształtowana głowa. Czytał litanię, a że głos jego brzmiał tkliwie i przyjemnie, młoda istota poczuła dlań uwielbienie bez granic. Pod koniec odwrócił się i pokropił wiernych wodą święconą — na ten widok dziewczę prawie zemdlało. Zobaczyła dużo czoło, szeroki nos, twarz bez wyrazu... wikary napra-

Badacze spędzali długie lata wśród plemion dzikich, skrzętnie i systematycznie śledząc pierwotne urządzenia społeczne; niektórzy poprzestawali na pojedynczych monografiach, inni, jak Morgan, usiłowali uogólnić je na szersze koła. Wyniki tych studyów, co było do przewidzenia, nie zgadzały się z opisami dorywczych awanturników i z wyprowadzonymi na tej osnowie przez gabinetową socyologię europejską wywodami. Co więcej, czasami zaprzeczały one wprost rezultatom długoletnich prac gabinetowych, sprowadzając ich teorye do wartości urojeń (egzogamia i endogamia Mac Lennana! itd.). Czytelnik odgaduje, iż Letourneau znalazł się w podobnem położeniu. Już z tego powodu ciekawem było, jak zachowa się w wypadku, gdy staje oko w oko z socyologią etnograficzną na podstawie bezpośrednich spostrzeżeń — Mac Lennan w tym razie zarzucił Morganowi brak wejrzenia filozoficznego i subtelności spostrzegawczej. Spotkanie nastąpiło na stronicach *Rozwoju małżeństwa i rodziny*.

Swoim zwyczajem Letourneau rozpoczyna poszukiwania od przytoczenia faktów, tyczących się małżeństwa i rodziny u zwierząt. Zwłaszcza zauważone wśród małp służą w ciągu dalszym jako ważne punkty wyjścia. Otóż, śród różnych i nawet w tym samym gatunku małp panuje największa rozmaitość. Jedne żyją w monogamii, inne w polygamii (zauważymy, że wszystkie dane nie posiadają zupełnego prawdopodobieństwa; tak należałoby odpowiedzieć: czy owe stosunki choćby polygamiczne obejmują ojca a córki?). W ostatnim wypadku mamy do czynienia z „rządem monarchicznym.“ Na czele hordy stoi stary samiec, despotycznie przywłaszczający samice gromady i niezноszący obecności żadnego dojrzałego osobnika płci męzkiej. Gdy młode samce podrosną, który czuje siłę, zrzuca dotychczasowego przewódcę i zajmuje jego miejsce. Pierwotne społeczeństwa ludzkie przedstawiały podobny widok, z tą różnicą, że były zebraniem stworzeń bardziej towarzyskich. Samiec-przewódca nie wyganiał młodych współzawodników, lecz jedynie usuwał cel samic gromady. Pozostawało dorastającym poszukiwać towarzyszek w obcych hordach drogą porwania. Branka stawała się niewolnicą przywłaszczyciela, który przy odpowiednich siłach mógł otoczyć się kilku kobietami. Słowem, podniesiono polygamię do najważniejszej formy małżeńskiej w dziejach ludzkości, jakkolwiek w niektórych hordach odrazu w podobny sposób mogła powstać i monogamia. Przyjęto teoryę Mac Lennana co do endogamii i egzogamii, potworzono szczególne kategorye małżeństw przez porwanie, kupno, wysługiwanie się. Również i rozwój kar za cudzołóstwo, dzieje rozwodów, wdowieństwa, lewiratu (obowiązek brata zaślubiać wdowę po starszym) są oświetlone w sposób odpowiedni. Zbyteczna mówić, że takie stanowisko, każące widzieć, im dalej sięgamy w przeszłość, tem większą niewolę kobiety, zmusza autora do mylnego tłomaczenia wielu faktów. Wszelkie ślady wyższego stanowiska społecznego kobiety (np. w starożytnym Egipcie, u tuaregów i in.) tłomaczy on jako objawy wyjątkowe, ograniczające się do warstw bogatych! Nie mogąc zamilczeć o polyandryi drawidyjczyków i tybetanów, po części wyjaśnia ją za pomocą ubogiego stanu warstw niższych, po części przyjmuje jako rzadki okaz i twierdzi, że, ponieważ ludzkość przedstawia niezależnie rozwijające się grupy kulturne, przeto w niektórych ogniskach, wskutek wyjątkowych i nawskróś szczególnych okoliczności, mogły powstać takie nienormalne formy małżeństwa. Tu i owdzie spotykamy gęsto wycieczki przeciw teoryom (zresztą wspomina jedynie o Bachofenie), które właśnie takim wyjątkowym stanom chciałyby nadać pierwszorzędne znaczenie i w władzy kobiet egipskich i tuaregskich, w świętej prostytucyi chaldejek itd. widzieć ślady jakiegoś wyższego dawniej stanowiska. Mimo nawału cytat, napróżno poszukiwaliśmy imion Morgana i in.

Lecz oto następuje część druga dzieła. Autor streszcza prace Howitta i Fisona nad australijczykami, należące do wybitniejszych monografij socyologiczno-etnograficznych. Okazuje się widnokrąg już nieco odmienny od wyłożonego poprzednio, a z nim pierwsze próby pogodzenia powiedzianego z powiadanem. Krańcowość uprzednich poglądów zostaje nieco złagodzona. Następnie idzie przedstawienie ustroju czerwonoskórych, już z ciągłemi powoływaniami się na Morgana, Owena-Dorseya, Sowella. Ze zdziwieniem spostrzegamy, iż Letourneau przyjmuje historyozoficzne znaczenie systemów pokrewieństwa przy wykryciu ubiegłych form rodziny, wyłożone przez Morgana, co zupełnie zwala uprzednie rzeczy. Rodzina swoista wyrasta do rozmiarów formy pierwszorzędnej, istniejącej u wielu grup rodu ludzkiego. Poprzednio cytowane fakty otrzymują nowe oświetlenie. Jednem słowem, zupełny procent!

W ciągu dzieła, pod napływem nowych faktów, Letourneau zmienił więc swe zdanie. Zmiana ta odbywa się stopniowo. Przy Howicie czyni on kilka dopiero ustępstw; mówiąc o Morganie, z początku wciąż zastrzega się przeciw niemu, aby zbyt nie przeceniać i nie uogólniać jego dowodów, potem coraz bardziej ogranicza swe zastrzeżenia, aż wreszcie — zupełnie ulega. *Rozwój rodziny* jest ogłoszeniem wykładów, które socyolog francuzki prowadzi w paryskiej szkole antropologicznej. Widocznem jest, iż zapoznał się z odpowiedniemi teoryami dopiero w ich toku. Że nie wcześniej, za dowód służy *Rozwój moralności*, który w wielu miejscach inaczej wyglądałby, gdyby niewzajemności owej nie było. Co więcej, Letourneau zaznajamiał się z nowymi faktami nie odrazu, lecz urywkami. Gdy więc w wcześniejszych rozdziałach spacza myśl Morganowską, w dalszym wykłada ją należycie. Australskie klasy na zasadzie płci utożsamia z rodami!

Nie streszczamy poglądów Letourneau na przyszłość rodziny, o nich bowiem pomówimy na innem miejscu. Nie wykładamy też zawartości jego pracy. Chodziło nam jedynie o wykazanie wartości gabinetowej socyologii europejskiej wobec zdobyczy z bezpośredniego badania — rzecz konieczna u nas, gdzie jakąś szczególną powagą otaczamy każde słowo utartych w nauce imion.

L. K.

RASA I DZIEJE.

Przyrodoznawstwo, zebrawszy w wieku bieżącym olbrzymi plon, na ucztę wspaniałą zaprosiło wszystkie prawie gałęzie wiedzy i każdej pozwoliło część jego sobie zabrać. Samo jednak nic straciło na tem nic, owszem zyskało sławę odnowiciela umiejętności ludzkich. Największą, lwią część wzięła historya. Po kilkudziesięciu stuleciach, spędzonych na spisywaniu dynastyi, wojen i dat, jęła ona wyławiać z pośród chaosu wypadków — nić rozwoju i zastanawiać się nad jego przyczynami. Społeczeństwo i ludy przestały być bohaterami bez-

---

wdę pięknym był tylko z tyłu. Uleczona, gniewna niemal dziewczyna opuściła kościół. Bo i jakże można być tak pięknym z tyłu, a tak brzydkim z przodu! Ksiądz naturalnie ani się domyślał, do czego dała powód twarz jego i zadowolony, jak zawsze, wyszedł z domu bożego.

Życie cichego przyjaciela naszego upływało jednostajnie, a jeśli oczekiwał czego od przyszłości, to chyba posady proboszcza gdzieś na wsi, w przyjemnej okolicy. W godzinach wolnych malował sobie bardzo ponętnie, jak będzie kochał swoje owieczki, żył zgodnie i w spokoju. Było to bardzo skromne marzenie, które, według wszelkiego prawdopodobieństwa, mogło się ziścić.

W dniu jednak, w którym poznaliśmy go, wydarzyło mu się coś oryginalnego i nad wyraz niespodziewanego. Często wprawdzie ksiądz jest w tem położeniu, że może badawczy rzucić wzrok w serca i stosunki ludzkie; po większej części wszelako gra on w takich razach bierną tylko rolę słuchacza, doradcy, karciciela, stosownie do wypadku. Tym razem jednak stało się inaczej.

Wikary został wezwany do umierającego człowieka, bardzo biednego i bardzo zadłużonego, którego zrujnowała długa choroba. Człowiek ten chciał się wyspowiadać po raz ostatni — za grzechy nieliczne, jakie popełnił, uczciwie już odpokutował na ziemi — ksiądz też w tym duchu przemawiał do niego i pocieszał, jak mógł. Ale chory potrząsnął głową i rzekł:

— Jedno jeszcze mam na sercu. Jeśli mi ksiądz tego ciężaru nie zdejmiesz z duszy, nie mogę umierać spokojnie.

Ksiądz prosił go, aby powiedział wszystko, schwycił wychudłą rękę umierającego i nachylił ucho prawie do ust biedaka.

— To nie grzech, ale życzenie, prośba...

— Więc mówcie! Jeżeli mogę spełnić życzenie...

— Możesz ksiądz! o, tak, możesz, jeżeli tylko zechcesz. Przysięgnij mi dobrodziej, że zadość uczynisz mojej prośbie.

— O co mu chodzić może? — pomyślał ksiądz. Może o pogrzeb bezpłatny, albo mszę żałobną za spokój jego duszy, pewnie o coś, co ma związek z powołaniem mojem. W przeciwnym razie po cóż zwracałby się do mnie?

Umierający wśród trwogi śmiertelnej ściskał rękę księdza.

— Przysięgnij dobrodziej! — zawołał jęcząc. Odmówić ostatniej prośbie umierającego — niepodobna.

Wikary wykonał żądaną przysięgę. Rozjaśniło się wynędzniałe oblicze biedaka... po rysach wykrzywionych łagodny przebiegł uśmiech.

— Mój syn! — szeptał — bądź drugim ojcem dla dziecka mojego! Nie masz rodziny — jesteś dobry — opiekuj się moim Antonim.

— Ależ człowieku! — zawołał ksiądz zasępiony nadzwyczaj. Jakże mogę? Pomyśl, sam jestem bardzo ubogi.

— Cóż zje takie dziecko... a ubranie, szkoła — to niedrogo kosztuje; chłopak nie spańszczony, ale kierunek mieć musi, podporę, inaczej zginie. Nie mam krewnych, ani przyjaciół — dziecko ma lat dziesięć, jak tułać się będzie! Nie odmawiaj! dla Boga! nie odmawiaj mi!.. Wszak przysięgłeś...

Skończyło się na tem, że ksiądz dał słowo, iż przysięgi dotrzyma, a chory z rezygnacyą i spokojem wyzionął ducha. Chłopiec nie był obecnym. Ojciec chciał zaoszczędzić dziecku widoku śmierci, a gdy Antoni wrócił ze szkoły, ojciec już nie żył. Sąsiadka oddała malcowi kartkę, w której mu ksiądz polecał przyjść dziś wieczorem.

Wikary zamówił chłopca do siebie, aby mieć możność jeszcze namyśleć się wprzódy. Ale niewiele wymyślił. Nie chciał pytać o radę towarzyszów zawodu swojego. Wiedział z góry, że proboszcz obojętnie wzruszy ramionami, a drugi wikary go wyśmieje — to zaś niewiele by mu pomogło. W końcu wszelako wpadł na dobrą myśl. Cóż, gdyby się udał do jednej ze swoich owieczek? Na ich współczucie liczyć mógł

dusznych kronik i podniesione do godności żywych organizmów, zaczęły interesować wszystkich swą przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Ze stosu faktów i legend zrobiła się filozofia człowieczeństwa.

Jak zoolog lub botanik dla zrozumienia danej formy zwierzęcej lub roślinnej bada stadya, przez które ona przechodziła i warunki naturalne, śród których się rozwijała, tak dziejopis dla wytłomaczenia sobie danej epoki w cywilizacyi lub przełomu w kolejach pewnego narodu — musi teraz sięgać w przeszłość, oraz przyglądać się stałym czynnikom kształtującym, jak: urządzenia państwowe, społeczne i religijne, a przedewszystkiem — czynnikom przyrodniczym: klimatowi, geograficznemu położeniu, geologicznej naturze kraju.

W rzędzie tych ostatnich jedną z najwybitniejszych ról odgrywa *rasa*. Znane wszystkim przykłady jej wpływu uogólnia w prawa znakomity antropolog francuski i historyozof, autor wielu wsławionych prac, G. Le Bon, w dziele mającem niezadługo ujrzeć światło dzienne, a zatytułowanem: *Cywilizacye pierwotne* *).

Dając za wygranę kwestyi powstawania ras, ogólnikowo dopiero wyjaśnionej, Le Bon bierze je tak, jak są, za grupy ludzkie, odznaczające się każda z osobna odrębną fizyognomią duchową. Należałoby dodać: konstytucyą fizyczną, ale doszukiwanie się pewnych stałych cech fizycznych, jak kształtu głowy, koloru oczów i włosów, bardzo często zawodzi. Najlepiej więc zadawalać się tymczasem wskazówkami psychologicznemi, a w takim razie wypadnie wziąć pod uwagę dwie grupy cech: charakter i inteligencyę.

Jeśli chodzi o potęgę historyczną, główna doniosłość przypada na ustrój moralny. Rzymianie czasu upadku wydawali całe setki mówców, poetów, artystów i myślicieli — ale nie mieli tego hartu i czystości obyczajów, jakie kwitnęły w okresie rzeczypospolitej i przeto rychło spoidła polityczne pękły, zapewniając tryumf pół-dzikim arabom.

Gdy jednak chodzi o poziom cywilizacyjny, uwaga przechyla się na stronę inteligencyi. Ale pod warunkiem, że będzie ona twórczą, samorzutną a nie naśladowczą, przyswajającą po prostu zdobycze umysłowości oryginalnych. Do pierwszych należeli grecy i arabowie, do ostatnich fenicyanie, mongolowie. Tylko tamci byli dźwigniami postępu; tylko z łona ras twórczych wychodzą tacy jak Newton lub Franklin, mocarze analogii między zjawiskami i mistrze w wysnuwaniu odległych wniosków.

Dalej wielkie znaczenie w życiu narodów ma stopień jednolitości rasy. Choć bowiem na pozór jednostki danego szczepu różnią się między sobą wielce, jednak pilniejsza obserwacya dostrzeże w nich pewne cechy istotne, tak wspólne wszystkim, jak np. kręgi wszystkim kręgowcom. Rysy te są spuścizną całej przeszłości i mają głos decydujący w sprawach przyszłości. Owóż mniejsza lub większa ich powszechność w rasie, czyli większa lub mniejsza jej jednolitość odbija się wydatnie w bycie politycznym. Anglia jest silną, gdyż żywioły brytański, saski i normandzki zlały się dostatecznie w jeden typ charakterystyczny; natomiast we Francyi, której plemiona: prowansalskie, pikardyjskie, burgundzkie, owernskie i mnóstwo innych dla różnic w umysłowej organizacyi nie zdołały stopić się w jedno, na porządku dziennym są zaburzenia i waśnie; trudno bowiem o instytucye, któreby dogadzały tak różnych obyczajów, dążeń i wierzeń obywatelom.

Im bardziej jednorodną staje się rasa, tem więcej ułatwia zadanie polityce. Gdy postępu ku wspólnemu typowi niema, najsilniejsze węzły nie ustrzegą państwa od rozkładu. Wymownie świadczą o tem dzieje wielkich mocarstw. Ze śmiercią Aleksandra Macedońskiego i Karola Wielkiego, gdy dłoni żelaznej nie stało — sztucznie sklejone przez nich gmachy sypały się w gruzy. A jeżeli anglikom i holendrom udaje się zachowywać powagę u podwładnych sobie plemion azyatyckich, to jedynie dlatego, że nie czyniąc zamachu na ich obyczaje i prawa, przestają na władztwie ekonomicznem, na pobieraniu podatków i eksploatacyi bogactw kolonialnych.

W miarę jak świat się starzeje, rasy zyskują na stałości i oporności. Ciężar dziedzictwa wzrasta. Jeżeli rasy w zaraniu historyi są o tyle o ile podatne do zmian, tedy w okresie swej dojrzałości zdolność tę prawie zupełnie tracą. Ciała polityczne, stanowiące narodowościową mozajkę, winny pamiętać, że bardzo wolno i stopniowo tylko osiągnąć się daje kilkorasowy amalgamat.

Ale pytanie, w jakich warunkach, kiedy wogóle osiągnąć go można?

Gdy jedna z dwóch ras nie o wiele przewyższa drugą liczebnie.

Gdy różnice w ustroju fizycznym i umysłowym nie idą za daleko.

W braku pierwszego warunku rasa mniejsza ginie śród większej: tak bywa z garściami najbardziej nawet wojowniczych białych śród murzynów. Jeśli zaś uniknęli tego losu aryowie w Indyach wschodnich, lub dzisiaj anglicy — to jedynie dzięki systemowi kast, niedopuszczających krzyżowania.

Nie przeszkadza to jednak ludom pochłoniętym wyciskać swe piętno na pochłaniających, jeżeli same posiadają oświatę wyższą. Frankowie, zwycięzcy galo-rzymian, zapożyczyli od nich język, urządzenia i przyswoili całkowicie ducha. Egipt podobnież schłonął zdobywców swych arabów, ale ich cywilizacya otrzymała palmę pierwszeństwa, narzuciła im swe sztuki, religię i mowę.

W braku drugiego warunku, tj. względnego choćby podobieństwa ras, usiłowanie zlania kończy się zagładą słabszej, ale nie podbojem. Tak się dzieje z irlandczykami, których liczba przerażająco maleje. Tak było z tasmańczykami, których śladu nie zostało, tak z czerwonoskórymi, z których zostały już tylko niedobitki. Jeżeli żywioł słabszy jest zarazem cywilizacyjnie niższym — proces taki odbywa się nierównie szybciej. Nie potrzeba do tego wcale gwałtu, prześladowania — sama obecność plemienia liczniejszego, mającego na usługi swe lepsze i bardziej złożone urządzenia, wystarcza dla wyrodzenia lub nawet wygłodzenia rasy zacofańszej. Oddawna ustało już tępienie zachodnich indyan przez obywateli Stanów Zjednoczonych, a jednak czerwonoskórzy uciekają od nich i wolą marnieć w namiotach, niż oddawać się rolnictwu, do którego nie są przyzwyczajeni.

Gdy pomimo wybitnych różnic, dwie rasy się krzyżują — tracą na tem obie. Spłodzona bowiem przez nie trzecia zazwyczaj jest moralnie niższą od każdej z dwu. Mieszaniny indusów z europejczykami, białych z murzynami, hiszpanów z amerykanami — dały plemiona słabe, niedołężne, niezdolne do cywilizacyjnego pochodu.

Le Bon mniema, że ostatnie to prawo było znane już starożytności i ono to pewnie stworzyło ustrój kastowy, który spra-

*) Rozdział tego dzieła, p. t. „Wpływ rasy na historyę" pomieszcza w zesz. 17 *Revue scientifique*.

---

w każdym razie. Co pomyślał, wykonał. W ciągu poobiedzia postarał się widzieć jedną z licznych przyjaciółek swoich, z pomiędzy których wybrał najmłodszą. Najmłodszą! ach! Panna Jetta miała lat trzydzieści pięć. Nosiła ciągle na ręku torebkę z robótką, dużo się śmiała i kłaniała z gracyą. Serce miała dobre, ale niewiele wiedziała, co z niem począć. Była sama jedna na świecie, gdyż nie można było liczyć starej ciotki, przy której mieszkała. Ciotka ta przyjęła Jettę do domu swojego, aby mieć z niej troskliwą dozorczynię, lektorkę, towarzyszkę i służącą. Kochaną Jetta nie była, ale miała przyrzeczenie, że po śmierci ciotki odziedziczy dosyć znaczny jej majątek. Z tem przyrzeczeniem atoli związany był warunek, że Jetta do ostatniego tchnienia ciotki pozostać musi w jej domu i nie żyć dla nikogo innego. W takiem położeniu naturalnie o zamążpójściu nie mogło być mowy, pominąwszy już, że żaden nie zgłaszał się konkurent. Tym sposobem Jetta w osamotnieniu swojem stała się gorliwą zwolenniczką chodzenia do kościoła. Spowiadała się co cztery tygodnie, a czyniła to za każdym razem ze drżeniem, gwałtownem i silnem biciem serca, jakkolwiek nie miała z czego się spowiadać. Ciotka jednak bardzo temu była rada, gdyż uważała siostrzenicę swoją za istotę nadzwyczaj niedoskonałą i nic też nie miała przeciwko temu, że spowiednik Jetty, nasz wikary, zachodził do nich w odwiedziny czasem. Była ona przyjaciółką duchowieństwa i kościoła a szczególną miała słabość dla cichego księdza.

— Tylko jesteś dobrodziej za dobrym dla mojej siostrzenicy—mawiała często do niego. Powinienbyś jej był daleko surowszą zadawać pokutę.

Do obu pań tych poszedł wikary i opowiedział im swoją przygodę. Ciotka kręciła nosem, kiwała głową i zawyrokowała, że to fatalna historya.

— Gdybyż to choć była dziewczyna! — rzekła Jetta, rumieniąc się. Ale chłopak!.. Jak swawolni są chłopcy... jak niesforni! Wszystko niszczą i łamią... palą potajemnie... Niedawno czytałem w gazecie, że czternastoletni chłopak podpalił dom...

— W moim domu zostać nie może— powiedział wikary—nie podobałoby się to proboszczowi, a i ja sam przyzwyczajony jestem do spokoju. Ale postanowienie jakiekolwiek powziąć muszę. Gdybym wiedział tylko, gdzie *tymczasowo* umieścić chłopca (przy tych słowach wymowne rzucił spojrzenie na starą ciotkę), gdyby się znalazł kto, coby go przyjął na dni kilka — wszak ostatecznie radę jakąś znajdę...

Stara milczała. Jetta zarumieniła się jeszcze więcej.

— Tak nie umiem obchodzić się z dziećmi — mówił ksiądz w dalszym ciągu. Może pani, panno Jetto, dasz mi jakąś radę?..

— Ja? — wybąknęła zawstydzona. Skądżebym ja?..

— Wiesz co, dobrodzieju — przerwała ciotka. W imię Boże sprowadź tu jutro chłopca do mnie... Tylko dla ciebie to zrobię, że go zatrzymam dopóty, dopóki nie wynajdziesz mu schronienia.

Po tych słowach zaszło coś, na co nikt z nich trojga nie był przygotowanym. Harmonizujące dusze Jetty i księdza naraz jedną powzięły myśl: pocałować ciotkę w rękę i to w prawą. Oboje zamiar swój z takim wykonali pośpiechem, że głowy ich wzajem uderzyły o siebie, co zarówno pasterza, jako i owieczkę jego w niemały wprawiło kłopot. Ciotka zaśmiała się głośno. Zmieszanie wikarego przeminęło prędko, usprawiedliwiał się przed zaczerwienioną pięknością, jak mógł najlepiej. Jetta wszakże wciąż pozostała stropioną, a ciotka śmiała się dalej. Pragnąc położyć koniec drażliwej tej scenie, ksiądz pożegnał się i przyrzekł, że nazajutrz raniutko przyprowadzi chłopca. Tego wieczora Jetta przeczytała jeszcze modlitwę „za naszego spowiednika" i drugą za „dzieci poruczone pieczy naszej."

Kiedy wikary powrócił do domu, zastał przy drzwiach swoich małego chłopczyka: był to blondynek blady, wątły, ubogo odziany; stał trwożny i przygnębiony — „jak pies bez pana" — musiał pomyśleć ksiądz. Położył rękę na główce dziecka i spytał, czy długo już czeka.

wił np., że aryowie uratowali swoją czystość i wyższość śród czarnoskórych barbarzyńców—pierwotnych mieszkańców doliny Gangesu. Niewątpliwie zakaz łączenia się z dzikimi krajowcami działał tu głównie, ale trudno zgodzić się, by zakaz ten powstał ze świadomych rachub etnograficznych; aryjczyk tak samo jak hebrejczyk, rzymianin lub grek, nie chciał mieszać krwi swej z krwią zwyciężonych przez samą dumę, arystokratyzm i szowinizm, właściwe wszystkim ludom klasycznym.

O ile odmiennym bywa rezultat połączenia dwu ras, choć różnych, ale zbliżonych poziomem oświaty! Cała niepospolita dzielność yankesów wypływa stąd, że stanowią szczep, na który złożyły się takie korzenie, jak: anglicy, francuzi, niemcy i irlandczycy; prawdziwy kwiat kultury lądu stałego, wyższy nad jego ograniczenia i z tradycyi jego niezadowolony. Jedyna ich ułomność, to niedorozwój estetyczny, ale też nie z poetów, artystów i marzycieli wiodą ród swój ci energiczni ludzie czynu.

Wobec takich oto praw, objaśniających nam wiele faktów historycznych, nastręcza się olbrzymiej dla historyozofa wagi pytanie: czy rozwój cywilizacyi ujednorodnia rasy, czy też je coraz więcej różnicuje? Niestety, odpowiedź wypada ujemna. Oświata posuwa się śród jednych ludów krokami gigantów — u innych nawet nie kiełkuje. Przepaść w ten sposób wykopana pogłębia się i rozszerza z każdym wiekiem.

Złowrogiej tej dążności przychodzi w pomoc tendencya rozbieżna w łonie samych ras, wziętych pojedynczo. Warunki umysłowe nie jednakowo działają na jednostki; lepiej uposażone wznoszą się, upośledzone stoją w miejscu. Odległość między pierwszemi a drugiemi rośnie dzięki podziałowi pracy, który klasy niższe skazuje na trud jednostajny i przytępiający. Inżenier naszych czasów musi mieć więcej inteligencyi, niż mechanik z zeszłego stulecia, ale robotnik nowszej doby mniej jej potrzebuje dla sporządzenia kółka do zegarka, zwłaszcza jeśli całe życie nad tym jeno rodzajem pracy ślęczy, niż przodek jego, który sam jeden cały zegarek zfabrykować umiał.

Ktoby o tem wątpił, znajdzie przekonywające potwierdzenie w danych anatomicznych. Gdy różnice w rozmiarach czaszek u ludów zapóźnionych są bardzo nieznaczne—w rasach, zajmujących wyższe szczeble kultury, są one równie przepaściste, jak różnice duchowe. Prawda, że i wielkość przeciętna, średnio proporcyonalna, czyni postępy, ale te bynajmniej nie odpowiadają przerażającemu pogłębianiu się różnic między czaszkami i są nadzwyczaj powolne, czego najlepszym dowodem to, że rozmiary przeciętne czaszek u ludów azyatyckich, jak hindusowie i chińczycy, mało co ustępują takiejże równi na ukształconym zachodzie Europy, pomimo całej wyższości naszej nad azyatami.

Gdy więc różnicowanie tak wybitnie prześciga tendencyę do wspólnego mianownika, otwierają się dla teoryj demokratycznych i niwelatorskich marzeń — widnokręgi zaiste niepocieszające. Żelazna konieczność oddala rasę od rasy i jednostkę od jednostki — i najszczytniejszym hasłom naszej epoki urąga...

Le Bon zresztą nie pod tym tylko względem rozprasza nasze złudzenia. Wierzy on, że zarówno w rozwoju pojedynczych rodzin, jak i w życiu całych społeczeństw jest pewien punkt szczytowy, ponad który wznieść się niepodobna i od którego zwykle zaczyna się upadek, zwyrodnienie. Po geniuszu w rodzie pospolicie zjawia się niedołęztwo familijne, po wysokiej umysłowości narodu — cofanie się wstecz; i tu i tam idą po sobie cztery okresy: narodziny, wzrost, upadek i śmierć. A więc Draper *redivivus*!

R. D.

WYNALAZKI.

Rosolena. Poddając kalafonię destylacyi suchej, otrzymujemy rozmaite produkty, które można oddzielać od siebie za pośrednictwem cząstkowych destylacyj i pozyskiwać przeróżne węglowodany, jako to: retinaftę, retinyl, metanaftalinę i wreszcie retinol, czyli tak zwaną rosolenę. Oprócz nich wytwarza się nadto smoła jako osad destylacyi. Mieszanina retinafty, rosoleny i metanaftaliny, tworzy olej żywiczny używany w przemyśle, co się zaś tyczy retinylu, zwanego też olejkiem żywicznym, posiada on prawie też same własności i daje też same zastosowania, co olejek terpentynowy.

Wszelako z tych wszystkich związków, rosolena odosobniona i poddana specyalnemu procesowi, tworzy produkt wielce ciekawy. W destylacyi żywicy przechodzi ona 280 stopień ciepłatermometru Celsiusza i w tej temperaturze przedstawia się w postaci pięknego oleju ciężkiego, barwy brunatnej lub ciemnozielonej, cechującego się mocną wonią żywiczną. Olej ten destyluje się powtórnie z równą objętością wody lekko zalkalizowanej, następnie maceruje z małą ilością glejty drobno sproszkowanej i w końcu otrzymuje się rosolenę, jako ostateczny produkt tego procesu.

Rosolena naówczas ma wygląd oleju goździkowego lub migdałowego, barwy żółtej lub słomkowej i załamuje z lekka kolor fioletowy światła słonecznego, nie posiada przytem żadnego smaku i woni. Można ją użyć wewnątrz nawet w wielkiej ilości bez żadnego złego skutku, gdyż lekko tylko przeczyszcza.

Rosolena jest nierozpuszczalną w wodzie i w alkoholu, natomiast roztwarza ją eter, olejki i siarek węgla. Nie zmydla się, nie utlenia czyli nie jełczeje i w reakcyi zachowuje się obojętnie. Ciężkość jej gatunkowa wynosi 0,95.

Rosolena jest węglowodanem, zawierającym ciała rozmaite, jako to: terpentynę, kalafonię, żywicę zmodyfikowaną, kwas fenilowy, kreozot i związki od niego pochodne. Rosolena wrzeć zaczyna w 205 stopniu Celsiusza powyżej zera.

Hopeina, alkalojd wydzielony z chmielu. Dotąd napróżno wysilano się nad otrzymaniem z chmielu alkolojdu skrystalizowanego, gdyż zaledwie jego ślady zawierały w sobie gatunki chmielu krzewiącego się w Europie. Pierwszy raz wydzielono ten alkalojd z dzikiego chmielu amerykańskiego. Badania Smitha, Williamsona, Myers'a i Springmühla okazały, że hopeina w stanie czystym działaniem jako narkotyk dorównywa morfinie. Nazwa hopeiny, nadmienić winniśmy, pochodzi od wyrazu angielskiego „hop," oznaczającego chmiel.

Chmiel niemiecki zawiera zaledwie ślady hopeiny; niektóre gatunki chmielu angielskiego wydają jej 50 centygramów z kilograma. Z jednego kilograma chmielu dzikiego amerykańskiego Williamson otrzymał 1,5 gramów hopeiny czystej.

Alkalojd ten przedstawia się w postaci białych, błyszczących igiełek. lub też w kształcie białego skrystalizowanego proszku, z wielką trudnością rozpuszczającego się w wodzie (1 część w 800 częściach wody, w temperaturze + 150); w alkoholu zaś rozpuszcza się on w stosunku 50 części w temperaturze 15 stopni Celsiusza powyżej zera. Hopeina krystalizuje podczas oziębiania się jej w roztworze stężonym alkoholu gorącego.

Dla otrzymania tego alkalojdu potrzeba macerować przez 24 godzin dziki chmiel amerykański w kotle miedzianym, osłoniętym pokry-

---

— O, nie, wcale nie długo.

(Później wikary dowiedział się, że chłopak stał tu już od dwóch godzin).

Kazał mu wejść, usiąść — chłopiec był posłuszny. Nieporuszony siedział na rożku krzesła, a gdy ksiądz odwracał się od niego, bacznie mu się przypatrywał. Czy ksiądz wielkie lub małe miał usta— tego zapewne nie badał, sierota szukał w rysach księdza dobroci, współczucia, litości — i znalazł je widać, skoro mała, blada twarzyczka straciła niewypowiedzianie bolesny swój wyraz, a oczy zaświeciły słabym blaskiem jakby budzącej się nadziei. Znalazł nawet odwagi dosyć, aby doręczyć księdzu mały pakiecik; zawierał on papiery i cenzury chłopca — ojciec zebrał je przed śmiercią.

— Ślicznie! ślicznie! — powiedział ksiądz i zadał dziecku kilka pytań: czy głodno, czy ma pragnienie itp., co mu właśnie przyszło na myśl. Ponieważ z malca nie dużo można było wycisnąć, a ksiądz nie wiedział, co z nim począć, postanowił położyć go do łóżka. Na tę jedną noc odstąpił mu własne posłanie i pomagał przy rozbieraniu, w czem, rozumie się, był raczej przeszkodą, aniżeli pomocą. Chłopiec ukląkł w łóżku, złożył ręce i zaczął się modlić: „Panie w niebie! daj ojcu memu wieczne odpoczywanie! Kochany Jezusie! ochraniaj dobroczyńcę mojego..." Brzmiało to tak wzruszająco w ustach dziecięcych i tak wzruszająco wyglądał malec w łatanej koszulce, z bladą twarzą, wokoło której zwieszały się blond loki, iż serce księdza wezbrało uczuciem. Dziecię skończyło modlitwę i zrobiło znak krzyża. Potem przystąpił do niego ksiądz, położył ręce na wątłych jego ramionach i rzekł tonem pełnym miłości:

— Pragnę ci zastąpić ojca, Antosiu? Czy będziesz mnie kochał, czy będziesz pilnym i słuchał mnie?

Zadrgały usta dziecka, niby ptaszek, który znalazł gniazdko, przybiegł do piersi księdza i rozpłakał się głośno. Pękły więc pierwsze lody. Ksiądz pozwolił chłopcu wypłakać się do syta, otulił go potem troskliwie, jakby to uczyniła matka i dziecię osierocone zasnęło uspokojone, bezpieczne pod okiem samotnego człowieka...

Mały Antoś dobrym był chłopcem. Dzięki nieśmiałości swojej i łagodności w okamgnieniu zjednywał sobie uczucia wszystkich. Nawet stara ciotka szlochała gwałtownie i mrużyła oczy, kiedy Antoś po czternastodniowym pobycie w jej domu musiał ją opuścić, aby w seminaryum nowe rozpocząć życie. Czemże bowiem chłopak miał być, jeśli nie księdzem? Na tem polu ojciec przybrany mógł mu być pomocnym, mógł mu wyjednać miejsce bezpłatne, radzić i dawać wskazówki.

— Powiedział, że chce być księdzem — mówił wikary do przyjaciółek swoich — jabym go nie zmuszał.

Biedne dziecko! Czyż miało wolę własną? Wszak na wszystko odpowiedziałoby: tak... i poszło do seminaryum. Ciotka i Jetta zajęły się wyprawą, wikary kupił książki potrzebne i sam odprowadził chłopca do konwiktu. Rozstanie dla obu było przykrem nad wyraz, ale trzymali się dzielnie i ani jedna nie popłynęła łza.

— Jak bardzo mi brak chłopca! — sto razy na dzień myślał ksiądz.

Skoro tylko było wolno, Jetta sama albo wikary, lub oboje razem, przybywali dowiedzieć się, jak się ma sierota i słyszeli, że jest z losu swego zadowolony. Wikary szczycił się Antonim, a panna Jetta przynosiła mu zawsze jabłka i inne łakocie. Często, często bardzo mówili o dziecku, a wikary bezustannie w kieszeni bocznej nosił jego fotografię. Przyzwyczaili się mówić o chłopcu, jak o swoim własnym... „nasz Antoni potrzebuje tego lub owego, nasz Antoni pisze..." —naradzali się nad jego przyszłością i wyobrażali sobie, jak to będzie pięknie, gdy kiedyś wikary zostanie proboszczem, będzie mieszkał na wsi, a Antoni, jako młody, wesoły student, przyjedzie do plebanii na wakacye.

(D. n.).

wą dobrze pobieloną, w wodzie zawierającej 16% co do wagi glukozy z małą ilością kwasu octowego. Następnie poddaje się roztwór wrzeniu przez sześć godzin, a potem ciśnieniu. Wreszcie filtruje się płyn przez węgiel i paruje w próżni aż do krystalizacyi właściwej cukrowi. Z osadu pozostałego otrzymuje się hopeinę zanieczyszczoną, za pomocą alkoholu, poczem filtruje znowu płyn i ten odparowywa. Nowo pozyskany osad poddaje się działaniu eteru i wody słabo zalkalizowanej dla oddzielenia alkalojdu od innych materyj, z jakiemi jest pomieszanym i ostatecznie otrzymuje się produkt czysty przez powtarzane krystalizacye w alkoholu.

Obecność alkalojdu narkotycznego w chmielu zdradziło piwo angielskie, skoncentrowane w próżni, gdyż wywierało ono silny wpływ narkotyczny na organizm.

Hopeina przejawia swe działanie narkotyczne w dawce jednomiligramowej. Osoby dojrzałe znoszą dozę 5 do 10 miligramów, nie uczuwając skłonności do snu, wszelako dawka 1 do 3 centygramów wywołuje już skutki narkotyczne, a 5 centygramów hopeiny sprowadza silne zatrucie. Z doświadczeń dotychczasowych wnosić wypada, że 10 centygramów hopeiny wystarcza do zabicia człowieka dojrzałego, a 6 centygramów do otrucia dziecka.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Alfred Nossig. *Poezye*, Lwów, 1888.

(Dokończenie).

Tym rysem znamiennym poezyj p. Nossiga jest nastrój *biblijno-mesyaniczny*. Zawdzięcza go snadź autor silnemu upodobaniu do proroków starego testamentu i bliższemu z nimi obcowaniu. Chociaż więc *weltschmerz* Bar-Kochby nosi na sobie piętno dziewiętnastego wieku—to jednak wszystkie inne motywy, mądrość wygłaszana ustami nauczycieli i miłość Diny i Berurii, czyli pierwiastki filozoficzny i erotyczny tchną całkiem powagą starożytnego wschodu.

Lepiej jeszcze uwydatnia się ta właściwość w *Poemacie o człowieku*. Jest to tylko fragment czegoś większego i niedokończonego, albo raczej zakończonego objaśnieniem, dosyć dziko a bardzo niesmacznie brzmiącem. Widzimy tu Adama i Ewę, jak spłaciwszy dań miłości poznają, co dobre a co złe. Ocknieni z rozkosznego snu, błądzą po fantastycznej krainie i napotykają same tylko obrazy rozumu, sprawiedliwości, szczęścia i dobrobytu. A gdy pierś ich podnosi się zachwytem nad światem i życiem ludzkiem, anioł - przewodnik zaczął przesuwać przed nimi wizerunki zła. Potem, dodaje autor bardzo prozaicznie: „Adam i Ewa przebywają obszary Nauki, Wiary i Sztuki, poznawając w ten sposób wszystkie strony życia ludzkiego, zarazem obraz wszechświata odbijający się w umyśle ludzkim. Wszędzie widzą rozrzucony pierwiastek dobra i zła, jasności i ciemności, prawdy i obłudy, piękna i brzydoty itd.“

Nawet z drobnowidzem w dłoni nic tu nowego nie napotkasz; a dopiero w dalszym ciągu „miał“ autor zobrazować refleksyę filozoficzną o mniej wyszarzanym wyglądzie, mianowicie, że samolubstwo i miłość bliźniego są objawami jednej i tej samej siły, tj. siły bytu, która bywa miłością narodu i „samolubstwem narodu, miłością człowieczeństwa i samolubstwem człowieczeństwa.“ Szkoda wielka, że zamiar został zamiarem.

Owóż fragment ten jest bardzo szczęśliwem naśladowaniem rodzaju biblijnego. Nie znaczy to, iż składa się z wersetów, z których kilkanaście kolejnych zaczyna się od tradycyjnego *I* albo *A*—ale, że oprócz stylu odtwarza umiejętnie poezyę wyobraźni hebrejskiej, jej porównania, koloryt obfitujący w gołębice, wieże z kości słoniowej, lilie, palmy, chaty oliwne, jej klasycyzm pierwotny, w którym naiwność złotego wieku walczy o lepsze z realizmem nadzwyczajnym w zalotach i komplementach. Naturalnie nie obeszło się bez przesady zarówno w *Poemacie o człowieku* jak i w innych utworach. To, co dwa tysiące lat temu uchodziło za piękno, dziś śmieszy nawet najżarliwszego miłośnika Starego Zakonu.

Adam mówi do Ewy: „Biodro twe jakoby *nizina urodzajna* u stóp gór owych, *środkiem dolina z zagrodą*, w około *pola kwitnące*, a na rąbku smugi sadów, o jakaś ty piękna, oblubienico moja!“

A Ewa nie zostaje dłużną: „Podobnyś do świątyni marmurowej; ciało twe jakby gmach jaśniejący i wspaniały, nogi twe jakby filary kunsztownie rzeźbione, a głos twój, jakby organy grające,“

W *Dzienniku Daniela*, który jest zwyczajną spowiedzią młodzieńca, rozumie się, bardzo światłego — spowiedzią zwątpień, analizy, *hypetrofii* rozumu, rozdwojenia, słowem fermentu, poprzedzającego zazwyczaj dojrzałość w jednostkach z głębszą samowiedzą — znajdujemy ni stąd ni zowąd pośród myśli nowoczesnych taką oto, biblijną znowu apostrofę do kobiet:

„Kiedy toczę się przed wami *z grzmotem nurtów moich*, zdaje się wam, że jakiś sen owiał wasze skronie, bezwiednie otwieracie *wonne wasze wnętrze* a ja weń spozieram.“

Madrygały na wzór *Pieśni nad pieśniami* piękne są w ustach Salomona i Sulamitki, a i to jedynie dla estetyka-archeologa *rozumiejącego* ich powaby, ale nie *odczuwającego* ich bezpośrednio. P. Nossiga zaślepił widać najpiękniejszy poemat hebrejczyków i pchnął do zbyt niewolniczego kopiowania. Dla niego piersi Ewy „są jako gór szczyty (!!) śniegiem wieczystym pokryte, a zróżowione słońcem,“ dla Salomona zaś piersi Sulamitki „jako dwoje bliźniąt sarnich, które się pasą między liliami.“ Wolę już to... P. N. unosi się nad biodrami niewiasty a Sulamis nad pępkiem królewskiego swego kochanka: „*Pępek* twój jako czasza okrągła, która nie jest bez napoju; *brzuch* twój jest jako bróg pszenicy osadzony liliami itd.“ Golenie jego jako słupy marmurowe postawione na podstawkach złota wybornego.“

Uważam, że podobno krążenie po okolicach bioder i pępka—nowszej poezyi nigdy na dobre nie wychodzi.

Po za tymi wybrykami mimowolnego humoru, zwroty i figury poetyckie z niemałą zręcznością nastrojone są do kamertonu Pisma św. „Lica twe są jak gdyby z kości słoniowej, na której dwie róże stopiono; lub jak brzoskwinie, póki kwitną na drzewie; oblicze twe leży na włosach twych, jak na mchu leśnym pączek wiosenny, jaśnieje jak wyspa urocza na ciemnem morzu.“ Logika porównań, będąca właściwie z nowego punktu widzenia nielogiką, obca wszelkiej plastyczności (serce twe uśmiecha się na ustach twoich, jak dwoje gołąbków białych, pijących u strumyka), wyolbrzymiająca przedmiot opisu z rozmiarów łona do ogromu pola walki, z wielkości nóg do wielkości filarów lub wież — a przecież nader trudna do odtworzenia—pod piórem autora nic ze swego egzotycznego uroku nie stracila.

Gdy się zaś ona kojarzy z motywami świeższej daty, gdy służy za formę tematom współczesnym, wtedy wywołuje efekt bardzo oryginalny i przyjemny. Tem się właśnie zalecają *Rytmy*, najudatniejsze bodaj z poezyj drobnych. Choć wybór między księgą a kobietą jest tylko tysiączną parafrazą nieśmiertelnej maksymy Goethego

Grau, theurer Freund, ist alle Theorie
Und grün des Lebens goldner Baum —

choć skarga na niemoc woli ludzkiej brzmi bardzo a bardzo znajomą nutą, choć aforyzmy o dwoistej naturze miłości: „olbrzyma w przywiązaniu, karła w zazdrości,“ rozkosznej i bolesnej, marzącej a skrzętnej, bystrej a niewidomej, są wprost oklepankami z treści, jednak szata zwierzchnia ocala ich od wszelkiej banalności. Wyglądają one, jak mowa hebrejczyka dawniejszej ery, któryby przetrwał do dni naszych i o naszych zagadkach rozumu i czucia rozprawiał.

Z monologów, drukowanych swego czasu w *Prawdzie*, będących czterema odmianami jednego ducha szperającego „(*grübelder Geist*— jak mówią niemcy),“ prawdziwym, pięknym i głębokim jest *Goethe obok sennej Krystyny*: obraz metamorfozy myśli, z kontemplacyi rzeźbiarza, w pieśń poety, w szał kochanka, w świadomość poczęcia, wreszcie w melodyę zimnego i wyrachowanego poznania po ugaszeniu pożaru krwi.

Najsłabszemi są poezye rymowane, przeważnie osobistej i romantycznej barwy. Z wyjątkiem kilku zaledwie, grzeszą przeciw zasadniczym regułom rytmiki (np. *Zofia* 1, 2, 4, 5, *Ewa* 1, 5, 8, *Beatrice* 8), są monotonne, ciężkie i niemuzykalne. Ten rodzaj stanowczo nie nadaje się do twórczości p. Nossiga, bo wymaga inaczej ukształtowanej organizacyi, lżejszej nieco myśli i większej giętkości stylu.

Wogóle styl ten, nawet tam, gdzie go nie krępuje wersyfikacya, wyprawia autorowi iście galicyjskie psikusy. Takie wyrażenia, jak „co we mnie nie *zdałe*“ (str. 14), „na przyszłość *poskramiaj języka*“ (97), „*szanuj życia* swego“ (98), *zwią* zam. „zwą“ (99), „*tyloma róż* cię obrzucim“ (109), „*zazdraszczam ci*“ (!129), „wodzu, ojcze, *źródle* naszej siły“ (159), „mózg mój *zawrócił się*“ (165) itp. nie wypływają koniecznie ani z judejskiego mesyanizmu, ani z weltschmerzu, a szyderczo urągają wybitnemu poczuciu wszelkiego piękna w sztuce, jakie wyziera z pism p. Nossiga.

Gdyby można było streścić sąd o nich w jednem zdaniu — powiedziałbym, że artyzm nie gra tam roli wybitnej, a tem jedynie zasługują na poważną i bliższą uwagę, iż są wytworami umysłu oryginalnego, w rodzaju dzisiaj coraz rzadszym, pełnego filozofii, refleksyi, zbawicielskich rojeń i wschodnio-psalmowych odgłosów.

Cezary Jellenta.

LISTY PETERSBURSKIE.

Petersburg, 12 czerwca.

Gwar z każdym dniem umilka. Wozy ładowne sprzętami ciągną za miasto, uwożąc strudzonych pracowników na letnie mieszkania. Teatry, wystawy — zamknięte. Korzystając z ciszy, pogwarzymy o literaturze.

Miniona epoka, pod względem ożywienia myśli, ma wielkie podobieństwo do czasów Peryklesa i Medyceuszów: Puszkin, Lermontow, Hercen, Bieliński (krytyk), Gogol, Turgieniew, Dostojewski, Dobrolubow, Gonczarow, Tołstoj, Ostrowski (dramaturg), Niekrasow, Pisarew... cały szereg imion, któremi literatura ma prawo szczycić się. I oto — jedni pomarli bezpotomnie, drudzy usnęli i nastała cisza. W tym roku też zgasły dwa światlejsze promyki: poeta Nadson i nowelista Garszyn.

Rozpatrzmy tych, co pozostali.

Odzywa się Krestowskij (pseudonim), lecz słaby głos kobiecy nie umie zdobyć się na dźwięk silniejszy; jest to szept wieczornego pacierza, wyuczonego przez matkę.

Korolenko, znany nowelista, jak daleko pójdzie — czas wskaże.

Albow — powieściopisarz: uczuć w jego utworach wiele, zasady moralne piękne, lecz pomysłów oryginalniejszych brak zupełny.

Maksym Bieliński (Jasiński), pisząc po rusku, ujmy polskiej literaturze nie czyni.

Michajłow (Szeller) kiedyś obiecywał wiele, lecz gdy rzucił się na pole codziennej pracy przy pługu redakcyjnym — zmalał; dzisiejsze jego utwory, to jednotonne pieśni nianiek nad kolebką.

Taki jest zastęp wydatniejszych pisarzów; jeżeli dorzucimy Skabiczewskiego, fejletonistę Boborykina i szukającego efektów poetę Fofanowa — skończymy. Bezwątpienia wśród ulotnych utworów peryodycznej prasy nieraz przemknie jakiś piękny obrazek, lecz wszystkie mają jednakową cechę — są naśladowaniem.

Gonczarow, który kiedyś typowym Oblomowym poruszył całą „Ruś świętą,“ w przeszłym miesiącu, po kilkunastu latach milczenia spróbował pióra w *Wiestniku Jewropy*: szkoda staruszka!.. Pomimo przedmowy, że tylko pod wpływem moralnego przymusu wziął się do pióra, chciałbyś wytrzeć jego podpis, niech mniemają, że sam Maksym Bielinskij i to w chwilach słabszych napisał ową powiastkę.

Za to Tołstoj pomimo poważnego wieku dotąd umie wstrząsać umysły. Utwory ostatnich lat wzbudziły zdziwienie, a nawet narzekania; bowiem zmienił nietylko charakter powieści, lecz wszystkie zasady. Z obozu piękna — dla piękna przerzucił się do maluczkich, ciemnych... i nie samem tylko piórem — całą swą istnością oddał się nowej idei: odłożył na bok mitrę hrabiowską i zasiadł do szewckiego warsztatu. Jest to osobistość należąca do historyi w całej swej pełni — pisarza i człowieka.

Zostawiłem naostatek imiona trzech autorów, mających tę wspólną cechę, że są dziś najpłodniejszymi, piszą rzeczy urywkowe i wszyscy trzej pamiętają lepsze czasy: Uspienskij, Szczedryn (Sałtykow) i... Lejkin.

— Dziwne zestawienie! — zawołałby ruski krytyk.

Nie przeczę.

Uspienskij, pisarz ludowy, doszedł do przekonania, że *zachód* z jego prawem, literaturą, etyką — jest zgniłym, że Ruś, ucząc się tam, zaraża zdrowy, młodzieńczy organizm, że się rozszczepia na dwie grupy: *inteligencyi* i ludu, które nie mają z sobą nic wspólnego; w tym celu stara się zaznajomić *inteligentnych* z obyczajami, bytem, pracą, łzami i wiarą ludu. Poezyi w literaturze nie uznaje, tylko ścisłe badania. Napisał bardzo wiele i choć typów wybitniejszych nie stworzył, lecz każda postać uśmiecha się rzeczywistym śmiechem, biada prawdziwym bólem; dla badaczów ludu ma on wielkie znaczenie, historycy w przyszłości bezwątpienia korzystać zeń będą.

Szczedryn stoi na innym gruncie. Wytykając wady społeczeństwa, szuka prawdy wszędzie, więc nie gardzi i pracą Zachodu. Czytając jego utwory, dziękujesz niebu, że mu kazało być satyrykiem, inaczej stałby się krańcowym pesymistą. Dawniej młodzież zachwycała się każdym jego słówkiem, dziś, gdy mniej się czyta, dała temu pokój. Prawda — i Szczedryn spuścił z tonu: ostatnie jego utwory (*Wiestnik Jewropy*) nie roztrząsają zagadek życia, lecz sięgają czasów przed reformą społeczną — typy starych, bezbarwnych posiadaczy niewolników ciężkie sprawiają wrażenie, a mistrzowskie pióro stało się drżącem, niepewnem.

Lejkin — pisarz brukowy. Od lat kilkunastu czyta go i stróż u bramy, i dorożkarz na rogu ulicy, i kupiec w sklepie, i urzędnik w przerwach pracy biurowej. Jak o Kostrzewskim w Warszawie, tak o Lejkinie w Petersburgu wie każde pachołę. Zadnych wielkich zagadnień nie rozwiązuje, typów nie tworzy, a czytają go, jak nikogo. Codzień w *Petersburskiej gazecie* i raz na tydzień we własnym humorystycznym tygodniku *Oskołki* zamieszcza niewielką scenę z ulicy, biura, sklepu... Język utworów nader żywy, wszystkie przysłowia, żargonowe wyrazy, używane przez kupców, rzemieślników, stójkowych, sypią się jak iskry sztucznych ogni, a każda we właściwym kolorze. Ponieważ ma naśladowców, ma czytelników, musimy przyznać, że zrozumiał potrzeby mieszczaństwa i snać przynosi mu korzyść.

Na zakończenie zaznaczam główniejsze prądy codziennej literatury.

Słowianofile: marzący o wielkiej słowiańskiej rodzinie, z uwzględnieniem osobistych cech jej członków, wierzeń i języka.

Rusofile: przekonani, że odrębność członków jest zwyrodnieniem, wskutek zarazy Zachodu; więc marzący o państwie jednolitem pod wszystkimi względami.

„Zapadniki“ (Zachód): mniemający, że trzeba korzystać z wiedzy i stosunków wyrobionych na Zachodzie i czerpać z nich obficie.

„Narodniki“ różnych barw i odcieni; zacząwszy od takich, którzy chcą wezwać niższe pokłady ludu do oświaty, kończąc na tych, którzy chcieliby wrócić czasy „przed-Piotrowskie,“ to jest zapomnieć o wszystkiem, czego się nauczyli.

Są to cztery główne prądy, które codzień się ścierają. Polemika jest rzeczą piękną: na nieszczęście w sporach używa się wyrazów, wykazujących zwyrodnienie literatury: *Nowoje Wremia, Grażdanin, Nowosti*, a za niemi i pomniejsze gazety na wyścigi wyszukują obelżywych słów, jak gdyby ten, co powie najzłośliwiej, najprędzej przekona. O poczuciu piękna i prawdy w owych sporach zapomina się zupełnie.

A jednak... śród owej pomroki tu i owdzie błyska światełko. Jeżeli z poglądu ogólno-ludzkiego smutnym jest czasem jakiś p. Malczanow, który jeżdżąc po świecie, zbiera z kwiatów samą tylko truciznę, za to filozof Sołowjew nawołuje do braterstwa. Zaiste piękne są jego słowa niedawno wypowiedziane w publicznej rozprawie: „Gdy idzie o Kopernika, o Sobieskiego — wołamy: to nasi; gdy zaś dotkniemy polaków wogóle, mówimy: nie znamy ich, to nie nasi bracia!..“

Profesor Kariejew na publicznym odczycie mówił: U dawnej szlachty polskiej szczególnych wad nie było, były ogólne — jako posiadaczy niewolników; lecz nawet w kałuży niewolnictwa odnajdujemy czystsze krople: do posług domowych, to jest takich, gdzie niewolnik upadła się do ostatka, w Polsce nie używano poddanych, lecz wolnych ludzi; kmieć zaś rolnik, mając choć maluczkie prawa, umie zachować poczucie swobody.. Gdym wychodził z odczytu, jakaś poważna dama rzekła do innej: całe nieszczęście, że polacy nas nie znają, a my— ich; gdy posłuchasz rozumnego człowieka, okazuje się, że tak źle nie jest, że możnaby żyć po bratersku — wszystko to niemcy...

Może nie słuszna uwaga — lecz prawdopodobna.

Przejdźmy do innej dziedziny.

O ile literatura, pod nawałem maluczkich duchem, drobnieje, o tyle sztuki piękne, a przedewszystkiem architektura i malarstwo wzrastają.

1870 roku w nowej dziedzinie wybuchła rewolucya. Cząstka młodzieży, rozerwawszy więzy zastygłych form i tematów Akademii, weszła na drogę racyonalizmu— i gdy *Alma mater* zaczęła uciskać wyrodnych synów, jęli urządzać na własną rękę wystawy, tak zwane ruchome, czyli wędrowne (pieredwiżnyja). Dla ilustracyi wymienię kilka imion owego stowarzyszenia: Klodt, Kramskoj, Szyszkin, Makowski, Sawicki, Wereszczagin, Repin, Wołkow itd. Obrazy ich widziano w różnych zakątkach kraju. Ożywienie, zwłaszcza w pierwszych latach, było wielkie. Z czasem zapał ostygł trochę, lecz stało się to, co musiało stać się: Akademia uległa prądowi i jej nieruchome wody wzburzyły się. Współubieganie się na drodze postępu podniosło i ożywiło sztukę.

Tegoroczna wystawa Akademii jasno tego dowiodła. Bezwątpienia było wiele słabych okazów, wiele bezbarwnych i zastygłych, lecz w przeciętnej wartości okazał się znaczny postęp. Jeżeli piękno i dobrobyt tem większe mają znaczenie, im bardziej przesiąkają masę, średni pracownik, jako miara — wiele znaczy. Co się tyczy piękniejszych utworów, wymienię ich kilka: Ajwazowskij wystawił aż sześć obrazów, z nich „Mgła“ podobała się najwybredniejszym; Atryganjewa „Po deszczu“ skupił gromady widzów. Akademicy zarzucają mu — jako nieswojemu — brak techniki; znawcy wskazywali usterki, lecz życie i prawda, wiejące z obrazu, pokonywały drobiazgowych krytyków. Bakałowicza wszystkie cztery obrazy znalazły nabywców po bardzo wysokiej cenie; jego „Baśnie,“ a tem bardziej „Klienci oczekujący wyjścia patrona,“ były kwiatem wystawy. Ładny obrazek Brzozowskiego (z Warszawy) „Dolina Strążyska,“ zapewne dzięki swym maluczkim rozmiarom, nie wydobył się z tłumu.

Dalej budzili żywsze zajęcie: Galimski „Opuszczony młyn,“ Hofman „Kontrakt,“ Kondratenko „Imatra“ i „Park,“ wreszcie utwory Kraczkowskiego, Siergiejewa, Wasilkowskiego, hr. Murawjewa, Sticpanowa, profesorów Kowalewskiego, Willewalde i innych.

Przerywam, gdyż nie mam zamiaru pisać sprawozdania. Wogóle krajobrazy przeważają. Jest to rzecz, która zwraca na siebie uwagę.

Oprócz akademickiej, mieliśmy wystawę ruchomą i wystawę francuskich wyborowych malarzów. Ruchoma w tym roku była niezbyt świetną, francuska piękna, lecz myśli głębokiej napróżno by szukać...

N. B.

LITERATURA WŁOSKA.

K. Ventura: *Il Renitente Triestino.* (Nieprzejednany z Triestu).

Gdyby ktoś, choć trochę obeznany z literaturą włoską, spotkał tomik ten, należący do biblioteki współczesnej (wydawanej przez Natala Battezzati w Medyolanie), w obcym przekładzie, bez tytułu i nazwiska autora, poznałby odrazu, że jest to płód obecnej muzy włoskiej, tak silnie się w nim odzwierciedliły wszystkie prądy, szkoły, idee, a nawet nawyknienia literackie Italii nowożytnej. I z tego właśnie powodu zasługuje on na uwagę. Zrozumieć go bez tła odpowiedniego niepodobna, a z drugiej strony owo tło odbiło się na nim tem wyraźniej, że o ile z tej pracy, bardzo zapewne młodego człowieka, sądzić można, nie posiada on tak wybitnego talentu, by położyć swoje własne znamię na pierwszym utworze.

Każda z osobna literatura ma swoje właściwości, oddziaływają na nią: charakter narodowy, wpływy zewnętrzne a nadewszystko wypadki polityczne. One też głównie urobiły piśmiennictwo włoskie.

Można śmiało powiedzieć, iż dzięki rozczłonkowaniu tego kraju, którym rządzili drobni a tem dokuczliwsi tyrani, gaszący wszelki objaw myśli, literatura zapadła w sen letargiczny, trwający blizko dwa wieki. Do całych Włoch można zastosować ten wiersz Słowackiego o Neapolu:

„Stolico, gdzie nikt nie myśli głęboko
A gdzie nie wolno myśleć nawet płasko.“

Czasem tylko strzelił jakiś płomień odosobniony i gasł, nie znajdując odpowiednich warunków.

Na początku naszego stulecia ogniska swobodniejsze, jak Florencya i Turyn, zajmowały się daleko więcej zjednoczeniem kraju, niż piśmiennictwem: nie dziw, że literatura ta stała się przedewszystkiem narzędziem politycznem.

Jest to jeden z powodów, dla których powieść dzisiejsza, powieść obyczajowa i społeczna, która przed kilku dziesiątkami lat wstrząsnęła całym światem pod piórem Balzaca, Sanda, Dickensa, we Włoszech nie istniała wcale aż do dni naszych. Walterskotyzm przez Manzoniego wydał *Narzeczonych* i tę to powieść przetrawiały Włochy lat kilkadziesiąt, uważając ją za ostatnie słowo sztuki i nie domyślając się, że po szerokim świecie powiały inne prądy, romantyzm, którego brzask zwiastował Walter Scott, uległ rozwojowi i że po nim nastąpił inny kierunek literacki.

Powieść historyczna, dramat, poczerpnięty z dziejów ojczystych lub też zabarwiony silnie aluzyami do obecnej chwili — to były najmilsze i jedyne prawie płody Włoch. Zasklepione same w sobie, odcięte od europejskiego ruchu, zdrętwiałe, jak skrępowany człowiek, w którym krew prawidłowo krążyć nie może, podziwiały bezkrytycznie rzadkie i martwe swe wytwory.

Dwaj prawdziwie oryginalni i wielcy poeci, jakich wydał początek tego wieku, Leopardi i Giusti, mało byli znani, mniej jeszcze oceniony właściwie. Na Leopardim poznali się wprzód obcy niż swoi a dziś dopiero, w pół wieku po śmierci, stał się popularnym. Giusti z mniej wysokim polotem, satyryczną werwą i ludowem narzeczem, nie zostanie nim nigdy podobno.

Dopiero kiedy zjednoczone Włochy pomyślały o reorganizacyi wewnętrznej, kiedy zajęto się poprawą szkolnictwa a światło napłynęło przez otwarte na oścież podwoje, rozpoczął się ruch umysłowy dziwny i niepodobny do żadnego innego, zmieszały się w nim epoki i kierunki, wzory i szkoły sprzeczne. Te, które przeradzały się jedne w drugie i przeobrażały koleją, znalazły się nagle obok siebie i spojrzały sobie oko w oko zdziwione, nie mogąc porozumieć się wzajemnie. Umiarkowany romantyzm d'Azeglia Grossitego i całej szkoły Manzoniowej spotkał się z racyonalizmem Carducciego, z wyuzdanym romantyzmem naśladowców Wiktora Hugo. Odezwała się nawet filozofia encyklopedystów a Zola i jego naturalizm nie został bez oddźwięku.

Można powiedzieć nawet, iż niema jednego sławniejszego pisarza we Francyi, bo tej wpływ najwidoczniejszy jest na tę budzącą się literaturę, na którym nie wzorowałby się mniej lub więcej utalentowany włoch. Powstaje stąd dziwna mozajka, w której odnajdujesz wszystko bez wyjątku, ale spotykasz w bladem bardzo odbiciu pierwowzorów.

Cały przytem zastęp ludzi piszących odcina się jaskrawo od ogółu, tak mało jeszcze wykształconego krytycznie, tak mało obeznanego z kwestyami literackiemi, iż niewiele czyta i na słowo wierzy swoim autorom, nie wymagając od nich ani talentu, ani artyzmu, ani żadnego z przymiotów, do których przyzwyczajeni jesteśmy.

Mała ilość ludzi obeznanych z piśmiennictwem europejskiem sprawia, iż znajdują się oni w wyjątkowem położeniu; samo wykształcenie nadaje prawo do pióra bez żadnego względu na talent. Łatwo zadawalniając pożądania ogólne i zyskując poklask, autorowie są pobłażliwi dla samych siebie i powtarzają w najlepszej wierze to, co przed nimi stokroć lepiej powiedzieli inni. Popularyzują, zamiast tworzyć, a ponieważ często pierwowzory ich są mało znane we Włoszech, za wielkich mają się tacy, którzy bynajmniej na to nie zasługują.

Naturalnie poziom ogólny piśmienniczy musi być nizki, autor nie przemawia do równych sobie, ale do tłumu, często skarży się na to, iż zrozumianym być nie może, chociaż myśli jego nie przechodzą miary przeciętnie wykształconego człowieka i to nam tłomaczy pojawianie się takich utworów, jak *Il Renitente Triestino.*

Książka ta czyni wrażenie rzeczy dobrze znanej, jakkolwiek autor występuje z pierwszą pracą i chociaż na okładce jest r. 1887. Poezya Kamila Ventury przesiąknięta jest duchem Leopardiego. Mistrz to tak wielki, iż samo naśladowanie jego stanowi zasługę, ale naśladowca nie dorósł pierwowzoru. Uczucia i myśli biegną za nim, ale potęga geniuszu pozostała niedoścignioną.

Zaraz na wstępie poeta stawia siebie na skale nadmorskiej, o którą rozpryskują się wzburzone fale, spogląda w niebo usiane gwiazdami i wypowiada swe bóle. Jak Dante musi on porzucić miasto rodzinne, Tryest, oraz matkę ukochaną. Bóle to, z którymi każdy współczuć musi, wypowiedziane gorąco, silne czynią wrażenie i nie potrzebują wcale teatralnych dekoracyi, które autor widocznie zapożyczył jeszcze u Lamartine'a i jemu podobnych. Dalsze fragmenty poetyczne noszą zamiast tytułu nazwisko miasta, w którem napisane zostały, Florencya, Medyolan, a nawet Warszawa. Tę ostatnią, a raczej kraj, w którym się wznosi, nazywa autor pustą ziemią lodu i śniegu, ale przytem poezya niema z samą miejscowością nic wspólnego. Jest ona w najwyższym stopniu subjektywną, poeta patrzy tylko we własną duszę, opowiada własne myśli, uczucia i cierpienia. Dzieje uczuć dadzą się streścić w dwóch słowach. Wygnaniec z rodzinnego miasta boleje nad jego niewolą. W Medyolanie pokochał jakąś Maryę a miłość ta z powodów nieobjaśnionych była nieszczęśliwą. Wówczas to, szukając spokoju, błąkał się po świecie i odwiedził nasze miasto, gdzie znajduje się jego siostra, jak z poezyi wnioskować można.

Książka cała złożona jest z fragmentów wierszem i prozą, a jako historya osobistych przejść i wyznanie wiary, stanowi prolog do zamierzonej pentalogii „Bóg“, do której wchodzić mają trzy dramaty: „Anna Reman,“ „Jeśli nawet istniejesz, bądź przeklęty,“ „Sen,“ poemat „Bóg“ i powieść „Przyszłość.“

Jak z tego widać, zakrój poety jest olbrzymi, o ile zaś z prologu sądzić można, zamierza on w swoje dzieło wnieść przeobrażenie się idei bóstwa, o których oddanie kusiło się i kusi dotąd tylu. Nie mówiąc nawet o dawniejszych czasach, Goethe i Lenau w „Fauście,“ Quinet w „Ahasverusie,“ Emanuel Madach w swej „Tragedyi człowieka,“ J. Morisson w „The Purpose of Ages“ (Cel wieków), każdy po swojemu wcielić chce w poemat dzieje i przetwarzanie się wierzeń, cierpienia i kolizye stąd powstające.

Czy Kamilo Ventura zamierzonych dzieł dokona, w jaki sposób to uczyni, na to pytanie odpowiedzieć trudno.

Jest to niezawodnie człowiek myśli, obeznany z ruchem filozoficznym i naukowym, ale z całej jego książki nie widać siły wyobraźni, będącej koniecznym czynnikiem w dramacie, poemacie, czy powieści.

Część prozy poświęcona analizie własnego umysłu, świadczy, iż autor badać samego siebie głęboko może tylko ze zbytniem zamiłowaniem przedmiotu. Zamiłowanie to zresztą nie jest rysem indywidualnym, ale raczej narodowym, spotykamy go w bardzo wielu utworach włoskich, jak de Amicis, Montegazza i inni. Ventura przyznaje sam, nawet z pewną dumą, iż nie pojmuje natchnienia, bo każdą rzecz, napisaną przez siebie, mógłby powtórzyć identycznie, w innej chwili życia, każda jest owocem głębokiego namysłu, silnych uczuć i niezachwianych przekonań. Przekonania te nie różnią się od przekonań filozoficznych obecnej chwili, pomimo to autor powstaje przeciw pesymizmowi, którego sam zdaje się być ofiarą i poucza czytelnika, iż poddając się prawom natury bez żadnych złudzeń, można być szczęśliwym. Jeśli zaś on sam osobiście cierpi, to z powodów dotykających jego — Kamila Venturę, z których spowiada się długo, a nawet zbyt długo, z iście włoską obfitością słów, zdań, wykrzykników.

Ostatecznie pojmuje on wybornie dzisiejsze dążenia, rozumie, iż *weltschmerz* jest owocem zwątpienia i wstrętu do życia, pozbawionego za grobem nadziei, kiedy nadzieja ta, trwająca przez całe szeregi pokoleń, zjednoczyła się z rdzeniem naszej istoty, stała się potrzebą konieczną, ale pojmuje także, iż nowożytne wierzenia wyrabiają potrzeby nowe, od dawnych odmienne i że wyrazem ich jest „nauka życia.“ Nad nią to pracują myśliciele, moraliści, fizyolodzy, zamykając je same w sobie, a tem samem starając się byt doczesny uczynić pożytecznym i szczęśliwym. Pomimo to i pomimo, iż tytuł prologu jest „Zmartwychwstanie,“ kończy się on wykrzykiem rozpaczy.

Możnaby z tego autorowi zarzut uczynić, gdyby go nie wykluczał sam tytuł: „Fragmenty z prologu.“

Fragmenty te są różnorodne, poruszają wszystkie niemal zagadnienia myślowe, moralne a nawet literackie obecnej chwili. Autor spowiada się ze swoich wrażeń, zachwytów, oburzenia. Czuje się w prawie i obowiązku zajmować sobą czytelnika, gdyż we własnem przekonaniu stojąc od niego nierównie wyżej, uważa siebie za przedmiot niezmiernie ciekawy. A przytem wypowiada wszystkie swoje poglądy na rzeczy i ludzi. Nie szczędzi krytyków, zawczasu broniąc przeciw nim swego dzieła, wypowiada im całą swą pogardę, na którą rzeczywiście zasługują, jeśli, jak twierdzi, tylko za pieniądze chwalonym być można. Na piedestale jego uwielbień stoi Leopardi, przy nim Wiktor Hugo, Carducci i przeciwnik jego Caballoti, Montegazza, Andrzej Maffei. Nienawidzi szkoły realistycznej, tak zwanych *veristów* i *verizmu.* Wogóle ton jego jest poważny, jak dla nas trochę napuszony; ale z włoską przesadą, z włoską furyą i admiracyą, równającą ludy najrozmaitszej wartości, trzeba się oswoić, przystępując do tej literatury młodzieńczej, gorącej, potrzebującej wypowiedzieć się do zbytku, jakby chciała odzyskać stracony czas przymusowego milczenia.

W. Marrené.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Pierwszy żal w historyi. — Zmniejszona miara. — Klinika i kartaczownicza. — Sykania dzikich. — *Przyjaciel zwierząt.* — Podobieństwa w prasie. — Potrzeba redukcyi. — Jednobrzmiące artykuły. — Trzy przekłady jednej powieści francuskiej. — Wystawa inwentarza. — Spółka chmielarska. — Orzeł i owce. — Poezye Mickiewicza za 80 kop. — Pardon przed bezimiennym rycerzem.

Gdyby historya zaznaczała objawy uczuć, towarzyszących zgonowi Fryderyka III, po raz pierwszy zapisałaby w swej księdze, że polacy zasmucili się śmiercią króla — pruskiego. Drugiego podobnego wypadku w dziejach nie znam. I jakiż to dziwny urok padł na nich? Czem zmarły monarcha tak ich oczarował? Był człowiekiem łagodnym i wstąpił na tron po Wilhelmie I. W tych dwu okolicznościach tkwiło źródło sympatyi. Przez sto dni rządów, przy udziale ks.

Bismarka i mocno ustawionej maszynie państwowej, z rakiem w gardle i ciągłą myślą o śmierci, ani wielkich czynów, ani wielkich przewrotów dokonać nie można. Fryderyk III też ich nie dokonał, a nawet najmniejszym dowodem nie okazał chęci złagodzenia ucisku i krzywd w Poznańskiem. Owszem, przez tych sto dni germanizacyjna karczownica pracowała dalej. Ale od tronu powiewał jakiś wietrzyk dawno nieodczuwanej wiosny, szła wola, pragnąca przerwać wyrób tortur politycznych, odzywało się bezsilne i nieokreślone, ale przynajmniej życzliwe chcenie. Z mroźnej zawiei ludzie weszli do nieogrzanej jeszcze izby i poczuli ciepło rozkoszne. Tak ziębli w tej śnieżycy, że byle schronisko było dla nich rajem. Mała skala wymagań rozszerzyła wielkość Fryderyka III. Fr. Coppé napisał do niego odę, w której go wysławia jako bohatera bez tytułu zasługi. Ot poprostu nieboszczyk nie zamierzał ciemiężyć, wykorzeniać, gwałcić, niszczyć — i to samo już wystarczyło, ażeby ściągnął na siebie powszechną uwagę i sympatyę. O Germanio, czy ty widzisz, jak zmniejszono ciężarki do ważenia twoich władców! Jeżeli jeden z nich tylko pragnie dobra — już ma zapewniony wieniec wawrzynowy, w którym znalazły się i liście nadwiślan. Historya patrzy na to zdumiona.

Dziś na wielu stanowiskach nietrudno być wielkim, trzeba tylko nie być bardzo małym. Czasy nasze są rzeczywiście bardzo dziwne. W każdym okresie dziejów istniały wysokie szczyty cywilizacyi i głębokie niziny, ale chyba nigdy te różnice i sprzeczności nie występowały dosadniej, niż obecnie. Arystoteles, rozmawiający ze swoim ciemnym niewolnikiem, nie stał od niego dalej, niż współczesny nam zwykły człowiek, średnio ukształcony w fizyce, żyjący obok rolnika, uczestniczącego w suplikacyach o deszcz i pogodę. Przepaść, dzieląca ludzi, jak gdyby rozwierała się coraz szerzej, chociaż postęp zapewnia nas, że ją ciągle zwęża. Niewątpliwie oświata rośnie, ale równolegle i równomiernie z nią barbarzyństwo. Bo zważmy np. czy znamy w rozwoju życia ludzkości epokę, w której by więcej myślano o wzajemnem mordowaniu się i grabieży, o pięści, sile fizycznej, sposobach skutecznego napadu i zdobycia łupów? Nie było i nie ma tak dzikiego plemienia, które by tyle, co dzisiejsza Europa, poświęcało swych sił wojnie. Podczas gdy badania etnologiczne wykazują, że nad howami Madagaskaru panował kiedyś bosy władca, który polecił założyć dla nich... Akademię umiejętności, w uniwersytecie krakowskim prof. Adamkiewicz opuszcza katedrę patologii, bo rząd, wydający 186 milionów złr. na wojnę, nie ma środków na utrzymanie kliniki. Może zresztą ministeryum oświaty wyskrobałoby garść guldenów dla tego celu, ale rząd musiał w tym roku ponieść nadzwyczajny wydatek: kupił od elektro-technika amerykańskiego Maxime'a kartaczownicę z „ogniem nieustającym,“ która strzela bez przerwy i działa automatycznie. „Może ona całemi godzinami wyrzucać z siebie kule, tem bardziej, że lufa podlega nieustającemu i dowcipnie pomyślanemu chłodzeniu zapomocą zimnej wody.“ Mając do wyboru: tak genialną kartaczownicę i klinikę— czy podobna było się wahać? Wybrano też ów wulkan kul, którego twórca rozwiązał „jedno z najważniejszych zagadnień“ wieku. „Dotychczas bowiem taktyka wojskowa, jako matematycznego pewnika, trzymała się zasady, że ogień z broni palnej nie może być jednocześnie i przeciągłym i energicznym... Otóż cała doniosłość nowego wynalazku polega na tem, że odtąd dwa te pojęcia przestały być sprzecznemi.“ Nie bagatela! Jeżeli zaś kartaczownica posiada wielką wartość przez to, że ludzi zabija, jakież znaczenie mieć może klinika, która ich leczy? Dwa te „pojęcia przestaną być sprzecznemi“ chyba wtedy, gdy zbraknie ludzi do zabijania i potrzeba będzie ich życie podtrzymywać; dopóki wszakże „karmi armatniej“ jest, chwała Bogu, dosyć, kliniki są zbyteczne a kartaczownice niezbędne.

Tak rozumuje nasza cywilizacya, a mieszkańcy Anglii i Kasonga, zdumieni tą filozofią, sykają niemiłosiernie. To też gdybym się znalazł w orszaku Stanleya, a rodzimy obywatel Konga spytał mnie, skąd pochodzę, odrzekłbym mu bardzo wstydliwie: z Europy.

Pewna ilość członków Towarzystwa opieki nad zwierzętami zażądała zamknięcia jego gazetki *Przyjaciela zwierząt*. Bardzo słusznie, żądanie takie godzi się zupełnie z duchem czasu. Ażeby zaś ono było doskonałym jego wyrazem, panowie ci — jak rząd austryacki, który zamiast kliniki nabywa kartaczownicę—powinni ogłosić konkurs na bat elektryczny, któryby działał automatycznie, wymierzał możliwie największą ilość razów i spracowane albo chore zwierzęta pobudzał do rozpaczliwych wysiłków.

Jeżeli *Przyjaciel zwierząt*, który jest jedynym, będzie stracony jako nieużyteczny, czemużbyśmy nie mieli tracić pism już nie podobnych, ale bliźniaczych? W pewnych gatunkach prasa nasza posiada nadmiar i zyskałaby na redukcyi. Zawsze nie mogłem pojąć, dlaczego pisma, przystające do siebie wszystkiemi bokami i kątami jak równe trójkąty, istnieją w kilku postaciach, zamiast w jednej, któraby ich czytelnikom i wydawcom dała większą korzyść. Zagadka ta nie słabnie, ale wzmacnia się coraz nowymi dowodami, gdyż niektóre dzienniki, nie poprzestając na pokrewieństwie zasad, upodabniają się nawet formą swych artykułów, zamieszczając wprost jednobrzmiące. Dla przykładu proszę porównać sprawozdania z działalności „Macierzyństwa“ i Towarzystwa wyścigów konnych. Pisma, które z sobą współzawodniczą i walczą, drukują artykuły słowo w słowo jednakie. Nie wymieniam ich tytułów, bo nie chodzi mi tu o szykanę, ale o pytanie: po co tu dwa lub trzy wydawnictwa? Bo skoro one głoszą te same zasady, te same poglądy, te same depesze i jednobrzmiące artykuły— doprawdy nie rozumiem, czemu są redagowane przez innych ludzi, tłoczone w innych drukarniach i na innym papierze? Jest to zbytek całkiem niepotrzebny i nieusprawiedliwiony ani ekonomicznie, ani literacko. Skutkiem wielokrotnych podobieństw, dosięgających czasem tożsamości, nasze pisma peryodyczne, dzieląc między siebie wspólny a nieliczny rodzaj czytelników, krążą w małem kole i często nie zwracają swym nakładcom kosztów. Literatura także traci na tem rozmnażaniu jednogatunkowości. Do jakiego zaś stopnia posuwamy nieraz to rozmnażanie, dość powiedzieć, że równocześnie trzy pisma drukują przekład powieści Daudeta *Nieśmiertelny*, której osnowy i wartości wcale nie znają. Wątpimy, ażeby spekulacya dała każdemu z nich jakiekolwiek zyski, a czyż literatura małego narodu potrzebuje aż trzech tłomaczeń powieści francuskiej w ciągu jednego roku! Przecie takiego zbytku nie pozwoli sobie żadna inna w Europie. 40 milionów czytających niemców nie spożyje tego, co my dajemy 5 milionom w maleńkim procencie czytających polaków. Czy ta hojność nie potrąca o granice śmieszności? Wiek nasz zażądał uporządkowania produkcyi materyalnej, która nie odpowiadając istotnym potrzebom i wytwarzając w jednych dziedzinach nadmiary, a w innych braki, ciemięży pracę ludzką i utrudnia życie; doprawdy głos ten powinien się również odbić w naszem piśmiennictwie.

Zwolennicy rozmaitości doznali wielkiego zawodu na tegorocznej wystawie inwentarza. Jako o popisie gospodarczym mówić o niej nie warto, bo nie przedstawia nic nowego. Jedyną jej odmianą jest chyba mniejsza ilość okazów. To też sprawozdawcy, nie mając materyału do uwag i wniosków ogólnych, kreślą szczegółowo portrety i biografie każdego konia, wołu i barana. Ponieważ na placu Ujazdowskim powtarza się corocznie zwykły jarmark, nie odbierając mu tytułu: wystawy, nie przeceniajmy przynajmniej jego ekonomicznej wagi.

Wprawdzie na 300,000 rs. wymaganego kapitału nie złożono dotąd nawet tysiąca, wprawdzie odłożono uchwałę do jesieni, wprawdzie, zebrawszy się na naradę, nie znaleziono ani klucza od szafy, ani po otwarciu jej, protokółu i wykazów, ale przynajmniej uczestnicy spółki chmielarskiej zgromadzili się w oznaczonym dniu i dostatecznej liczbie, a rozeszli się z zamiarem sprzężenia swoich zamiarów. Że tej garści piasku wiatr nie rozdmuchał na wszystkie strony—to już wielki postęp. Nie znaczy to jeszcze, ażeby jesień ugniotła z niej i upiekła bułkę, ale w ekonomicznych dzieciach, do których my należymy, pocieszającym objawem jest nawet zaród ekonomicznych uzdolnień. P. Witkiewicz — rzecz dziwna, p. Witkiewicz, surowo egzaminujący malarzów z rysunku — przedstawił w *Tygodniku ilustrowanym* tatrzańskiego orła, który skrzydłami swemi, wyrównywającemi rozmiarem górze, nakrył całe stado owiec, pragnąc porwać z nich jedną, a pastuszek odpędza go siekierką. Nigdzie niema tak wielkich orłów, z wyjątkiem naszego przemysłu i handlu, gdzie rzeczywiście niemieckie ogarniają skrzydłami całe stada owiec, a każdy, kto tworzy spółkę od wyzwolenia się od zagranicy, jest owym odważnym pastuszkiem.

Nareszcie zaczęto Mickiewiczowi stawiać pomnik. Księgarnia Gebethnera i Wolffa wydała *wszystkie* (cenzuralne) jego poezye w czterech grubych tomach za... 80 kop. Nie, czytelniku, to nie jest omyłka drukarska — za 80 kop. Teraz marzenie wieszcza, ażeby jego „księgi zbłądziły pod strzechy,“ może się spełnić, nasza zaś literatura nie będzie miała wstydu wobec zagranicznych, że największy z jej pisarzów nie jest znanym ogółowi. Śród narodów ucywilizowanych zdobyliśmy się na to przedsięwzięcie ostatni. Nie mówię o niemcach, anglikach, francuzach, którzy dawno przygotowali tanie wydania dzieł swych geniuszów, i rosyanie zrobili to niedawno z utworami Puszkina. Publiczność rozchwytała je w ciągu kilku godzin — dosłownie rozchwytała, gdyż w Petersburgu rozbiła księgarnię w dniu wyjścia książek. Mickiewiczowi otworzono naoścież podwoje dopiero teraz. I znowu my to zrobiliśmy, a nie Galicya ze swoją swobodą i „Macierzą“ i jej tysiącami guldenów. Fakt charakterystyczny i wymowny. Ile by z niego można wysnuć uwag!

Poseł Prawdy.

P. S. *Ateneum*, które od pewnego czasu na palecie swojej rozrabia wszelkie gatunki błota i wytwarza z nich nową farbę, mającą odcień zielono-żółty żakostwa i ciemny brutalstwa, jeszcze raz pędzlem p. (—X—) maluje mnie z profilu ku niemu zwróconego. Rozbierać tego dzieła, z osobistych przycinków złożonego, a łącznie z innymi dowodami wydającego pismu raczej patent knajpy, niż Akademii, nie będę; sprostuję tylko jeden szczegół. Myli się *Ateneum*, twierdząc, że mnie nie przegada. Owszem, kłamstwo wykrętne i zuchwałość bezimiennością okryta, zawsze mnie pokonywały i zmuszały do milczenia. Walka nie przedmiotowa, lecz osobista ze znaczkami drukarskimi, chociażby ożywionymi śmiałą „odpowiedzialnością,“ byłaby czemś tak śmiesznem, że z niej ustępuję, zrzekając się nawet 100 dni odpustu, do których na mocy przysłowia miałbym prawo.

NA WIDNOKRĘGU.

Co się stało z projektem p. Kiersnowskiego. — Obojętni dla siebie i czuli na swe zachcianki. — Gorączka pożyczkowa. — Kazania, których nikt nie słucha. — Gałązki oliwne z naszego przemysłu. — Lekarz-altruista.

Gdybyśmy chcieli siebie tylko podziwiać, nie wystarczyłoby nam czasu na nic innego. Ze względu na to, podaję wam, czytelnicy, jeden tylko przedmiot z naszej czułości do podziwiania. Jeszcze w październiku roku zeszłego p. Jan Kiersnowski w *Rolniku i hodowcy* doradzał jeden ze skutecznych środków zamieniania nóg glinianych naszego rolnictwa na kruszcowe. Chodziło o ułatwienie nabywania maszyn i narzędzi rolniczych drogą spłaty, rozłożonej na pewne terminy z dołączeniem niewielkiego procentu od niedopłaconej sumy, jak się to dzieje z maszynami do szycia. Ważne to byłoby dla tych ziemian, którzy nie posiadają otwartego kredytu Banku państwa. Oto punkty projektu p. Kiersnowskiego: 1) Syndykat złożony z fabrykantów maszyn i narzędzi rolniczych w każdym powiecie zbiera po jednym agencie z ziemian, posiadających, prócz innych kwalifikacyj, materyalną rękojmię funduszu ziemnego; upoważniono by go do zawierania układów z rolnikami, życzącymi nabywać narzędzia na spłatę. 2) Ograniczyć najwyższą cyfrę pojedynczego kredytu np. do 3,000 rubli w tym stosunku, że na każdą dziesięcinę w kulturze otwieranoby kredyt w wysokości 5 rs.; jeśliby zaś żądanie przewyższało tę normę, biorący na spłaty winien sumę szacunkową zabezpieczyć odpowiednim zastawem. Takiejże rękojmi wymagać należałoby również od dzierżawców. 3) $^1/_5$ wartości maszyn i narzędzi oraz koszty przesyłki powinny być opłacane z góry. 4) Aż do ostatecznego spłacenia wartości przedmiotu, nabywca nie ma prawa sprzedać go drugiej osobie bez zezwolenia agenta i obowiązanym jest utrzymywać go w dobrym stanie, tudzież wykonywać potrzebne naprawy. Przy nieakuratnej spłacie maszyna sprzedaje się drogą licytacyi, a jeśli suma osiągnięta nie pokrywa szacunku sprzedażnego, nabywca odpowiada pozostałym funduszem swoim. 5) Przy nabywaniu kosztowniejszych maszyn i narzędzi, agentowi zostawić prawo głosu doradczego. (Bywają bowiem przykłady, że nabywają sobie lokomobile do takich gospodarstw, gdzie za procent od wydanych na kupno ich pieniędzy można było omłócić cały zapas zboża). 6) Raty naznaczyć na miesiące: wrzesień, listopad, luty i kwiecień. Zastosowanie owych przepisów — twierdzi projektodawca — zadowolni obie strony: fabrykant, ułatwiając zbyt swych wyrobów, prędzej je sprzedając, stając się odrazu posiadaczem całego kapitału, wyłożonego na nie, z różnicą tylko, że część tego funduszu zostaje w jego dowolnem rozporządzeniu, a reszta niespłacona przynosi mu pewien procent. Dług zaś na nabycie maszyny zaciągnięty, nie zaciąży zbytnio na budżecie rolnika, bo umorzą go wkrótce korzyści, osiągnięte ze stosowania udoskonalonego narzędzia. Przypuszczalna nieakuratność niektórych ziemian, jak utrzymuje autor, niewiele może odstraszyć przemysłowców, bo w tym razie ważną rolę odgrywałby, jako pośrednik pomiędzy rolnikiem a przemysłowcem, agent, który pobierając pewien procent z obrotu i jako odpowiedzialny za swoją czynność, zawierać będzie układy ze znajomością stosunków i ludzi. Jeśli nie to twierdzenia p. K., to żywy przykład na maszynach do szycia mógłby zachęcić. Amerykanie w tym razie ryzykują i świetne robią interesy, a przecież maszyny te rozchodzą się przeważnie pośród ludności ubogiej, nie przedstawiającej żadnej rękojmi materyalnej. Ale po co mówić o tem? Żal mi trudu p. Kiersnowskiego, który swój projekt stawił przed sąd „światłych ziemian, w nadziei wywołania dyskusyi, a w następstwie przeprowadzenia rzeczy pożytecznej i naglącej." Odtąd minęło już osiem miesięcy, a nikt bodaj uwagi nie zwrócił na te praktyczne rady; nietylko, że dyskusyi nie było, ale w żadnem piśmie wzmianki nawet o tem nie znalazłem, pomimo że wnioskodawca przemawiał za pośrednictwem *specyalnego* pisma do *specyalistów*! Czego to dowodzi? Albo ci *światli* ziemianie nie poczuwają się być światłymi, albo *Rolnik i hodowca* i inne pisma rolnicze z nim się wymieniające, nie mają wcale abonentów pośród tych, dla których są przeznaczone. To przecież niemożebne, a więc — smutno przypuścić coś gorszego!..

P. K. może mieć tę pociechę, że nie on jeden woła na puszczy. Inni zachrypli już dawno. Zdaje mi się, że i p. Russocki, prezydujący na ostatnich wyborach do Towarzystwa kredytowego, wołał na wiatr: „Nie żądajmy kredytu tam, gdzie brak realnej podstawy, pracą i oszczędnością zdobywajmy zasoby, wybierajmy zdolnych i pracowitych urzędników (radców) i nie rzucajmy głosów naszych lekkomyślnie." Jakże tam źle musi być w tej „przodującej klasie," skoro jeden z jej łona bryzga żółcią na swych braci. Pochwyciwszy powyższe słowa p. R., woła on doń w *Gazecie radomskiej*: „Chcesz, abyśmy nie żądali kredytu tam, gdzie brak do tego podstawy? Ależ, miły prezesie, racz zwrócić na to uwagę, że zbyt wielu nas jest takich, którym każda godzina życia jest drogą. Gdyby pożyczka Towarzystwa nie została nam udzieloną nad rzetelny szacunek, gdybyśmy nie pożyczali ciągle na nasze „niezbędne" potrzeby, musielibyśmy się pożegnać naprzód z pychą, potem z próżniactwem, nareszcie z jedyną deską zbawienia, tj. odłużonym do ostatnich granic możliwości kawałkiem ziemi. Wziąć dużo, a płacić mało, to jest nasze żądanie... Żądamy pieniędzy kosztem pogwałcenia wszelkich podstaw kredytu, kosztem płac urzędników. Nie pomogą wywody Dyrekcyi głównej, ogłaszane w pismach publicznych przed wyborami, bo ich albo nie czytamy, albo nie rozumiemy. Nie pomogą pojedyncze głosy rozsądnych z pomiędzy nas, bo głos prawdy niemiło ucho nasze potrąca. Że osłabimy kredyt nawet tym, którzy mogą się nim posługiwać, to nas nic nie obchodzi, dla nas władze Towarzystwa będą zawsze za skąpe, bez względu, że już obecnie żądanie pieniędzy po pożyczce z nowej taksy ironiczny śmiech wzbudza w kapitalistach.

Nie pierwsza to wycieczka z własnych szeregów przeciwko swoim. Nie bardzo dawno w *Przeglądzie krakowskim*, żarliwym obrońcy i zwolenniku wszystkiego, co tchnie szlachetczyzną, p. Józef Kleczyński, taki mniej więcej ogólny obraz naszkicował: Mimo pewnego postępu ku lepszemu, marnowanie fortun zawsze jest na porządku dziennym. W którąkolwiek stronę kraju spojrzeć, wszędzie stają przed oczami całe szeregi majątków zniszczonych bezrządem. Zbytek ujawnia się zwykle w formie najbardziej niskiej. Nie są to ekscentryczne zachcenia, nacechowane zamiłowaniem prawdy, piękna lub sztuk przechodzących siły majątkowe. Takich wyższych gustów, dających urok życiu, takich żądz, po których pozostaje przynajmniej ślad umysłu wykształconego, wyższego, albo dla kraju jakaś pamiątka, niema teraz zupełnie. Na takie wybujałości ducha nie poszła żadna fortuna. Ileż jednak poszło ich i idzie na udawanie *wielkiego państwa*, na uleganie grubym namiętnościom! Płytki egoizm, pycha nadęta, próżna, męczy kraj. Do tego pierwszego gatunku ludzi złych i nieuczciwych przychodzi drugi — miękich, bez energii i woli, dających się niszczyć i okradać. Jest i trzeci rodzaj tych, którzy pracują i walczą z odłużeniem. Ci nie mają sobie nic lub mało do zarzucenia; giną przez fatalne okoliczności, przez podział majątków i długi stąd rosnące. Straty wynikające z nierządu i bezrządu, nie znajdują w społeczeństwie dość surowego napomnienia. Myli się p. Kleczyński, mówiąc: „póki opinia publiczna będzie pobłażliwą na takie wybryki, póty nic nie zapobiegnie ruinie fortun i ciągłemu ubywaniu ziemi z rąk polskich." Opinia publiczna, złożona z większości ludzi inteligentnych, dziś już surowo potępia tych samoniszczycieli, ale za słabą ona jest na znieczulonych moralnie.

Przynajmniej w dziedzinie przemysłowej widnokrąg nie wszędzie zachmurzony. W pasie pogranicznym daje się spostrzegać wiele zmian na dobre od czasu zaprowadzenia ceł ochronnych. Powstały już takie fabryki, których wyroby dawniej były sprowadzane wyłącznie z zagranicy. Powodzenie jednego przedsiębiorcy zachęciło innych. Znalazły się kapitały — powiada *Kaliszanin* — znalazł się materyał roboczy, przekonano się, że i my możemy wytwarzać rzeczy dobre, znajdujące zbyt na rynkach Królestwa i Cesarstwa, pomimo że wyroby nie mają stempla zagranicznego. Przykładem są fabryki haftów. Przed kilku laty założono jedną, o trzech zaledwie maszynach, dziś jest już kilka z liczbą maszyn około 50. Sądzono, iż silne współzawodnictwo zabije mniej zasobnych. Stało się przeciwnie — wszyscy fabrykanci cieszą się powodzeniem. W Kaliszu istnieją trzy fabryki fortepianów, a żadna z nich nie narzeka na brak zajęcia, pomimo że wytwarzają przedmioty zbytku. Obuwie tamtejsze cieszy się wielkiem uznaniem za granicą; szewcy miejscowi nie mogą nastarczyć zamówieniom przeważnie do Wrocławia. Pomimo opłacania od tego towaru cła na komorach pruskich, otrzymując zapłatę w markach, jeszcze zyskują na różnicy kursu. Słysząc tak pocieszające rzeczy, chce mi się zadać pytanie, jak brzmią nazwiska tych *naszych* wytwórców?..

Radom stracił lekarza-altruistę, Stefana Karczewskiego. Człowiek ten sam nic nie miał, bo leczył niemal wszystkich darmo. I w dzień i w nocy zaglądał wszędzie, a najbardziej tam, gdzie się nędza w całej nagości gnieździła. Jako lekarz kolejowy, o każdej porze, wśród mrozów, zawiei i śnieżnej słoty spieszył do łoża chorego dróżnika, lub kogoś z jego rodziny. Młodo umarł (miał zaledwie lat czterdzieści). Poznałem go, gdy cierpienia fizyczne organizm jego do połowy już zjadły. Wycieńczony suchotnik nie żalił się na smutną dolę, chociaż rozumiał doskonale swój stan. Pomimo to pogodą i zapałem do pracy umiał ożywiać młodszych i zdrowszych fizycznie. Dziesięciotysięczny tłum prowadził go do mogiły z prawdziwym żalem, bo wiedział, że grzebie na zawsze przyjaciela.

Drogomir.

PRASA RUSKA.

St. Pet. Wiedomosti piszą (według *Gaz. pols.*).

„Chociaż ustawa o banku włościańskim dla Kraju nadwiślańskiego nie jest obwieszczona jeszcze, posiadane wszakże wiadomości o tym projekcie głoszą, iż z powodu rozmaitości warunków ekonomicznych i gruntowych tego kraju pożyczki będą udzielane nie podług normalnego, lecz osobnego szacunku, i zgodnie z przepisami ogólnymi, dotyczącymi banku włościańskiego, na skalę 75% sumy szacunkowej. W takim razie jedynie mający znaczne oszczędności włościanie mogliby korzystać z pożyczek, a więc bank włościański chybiłby swego zasadniczego celu (zdaniem twórców projektu)— dopomagania potrzebującym mianowicie przed innymi wsparcia; stądto uznano za pożyteczne i konieczne pociągnąć do okazywania pomocy nabywcom grun-

tów „fundusz użyteczności publicznej Królestwa Polskiego.“ Na fundusz ten włożone będzie wydawanie reszty, 25% pożyczki, za potrąceniem własnych opłat nabywców; procent dopłaty ze strony dłużników wynosić ma $7\frac{1}{2}$%, gdy pożyczka udzieloną jest na lat $34\frac{1}{2}$, i $8\frac{1}{2}$% (wymiar tych dopłat może być zwiększony do 10%), gdy pożyczki są $24\frac{1}{2}$-letnie; skala dopłat odpowiada rocznym opłatom pożyczek.

„Niepodobna pociągnięcia funduszu użyteczności publicznej do udzielania części pożyczek z banku włościańskiego nie uważać za niezupełnie szczęśliwe, chociażby już dlatego, że fundusz wspomniany podług wykazów ziemskiego wydziału ministeryum spraw wewnętrznych z dniem 1 (13) stycznia r. 1888 wynosił ledwie rubli trzy miliony. Wieść niesie, iż szeroki będzie zakres działalności banku włościańskiego w Kraju nadwiślańskim; jeżeli tedy bank wyda, przypuśćmy, że nie w jednym roku, lecz wciągu lat dwóch czy trzech, rs. trzynaście milionów, co nader jest możliwe przy wysokiej w kraju wartości gruntów, fundusz użyteczności publicznej zostanie wyczerpanym... Zachodzi pytanie, z jakichże źródeł wówczas udzielaną będzie część pożyczek nad 75%? Należny do spłacania procent na część pożyczki tak ma być nieznaczny, że nie zdoła chyba zadość uczynić potrzebie dalszego pożyczek udzielania.

„Projektowanem jest: za część pożyczki, wydanej z funduszu użyteczności publicznej, ściągać odsetki z umorzeniem w takim samym wymiarze, jak za część pożyczki ze środków banku włościańskiego, tj.: po $7\frac{1}{2}$% i $8\frac{1}{2}$% rocznie. Trudno atoli ukrywać, że procent taki okazał się, nawet w bardzo żyznych guberniach, zbyt wysokim; procent za otrzymaną pożyczkę na jedną desiatynę ziemi przewyższa niekiedy opłatę dzierżawną za tęż desiatynę. Taki duży procent w niektórych razach pociągnął za sobą poważne niedobory i licytacyę lub odjęcie przez bank włościański gruntów, kupionych za jego pośrednictwem, a nadto—ponieważ z funduszu, w mowie będącego, udzielano dotąd zapomóg na użytek publiczny (np. urządzenie kas pożyczkowo-wkładowych, wzmocnienie brzegów Wisły itd.) bez procentu—obecnie tenże fundusz utraci swój podstawowy charakter i swoje znaczenie. A mógłby przecież jedno i drugie zachować, gdyby za pożyczki, wydawane z niego na kupno roli, nie były wcale ustanowione odsetki (jeno umorzenie), lub gdyby sięgały one skali nieznacznej, co obniżyłoby też opłatę za całą pożyczkę. Inaczej, wyznać trzeba, nie rozumiemy, w jakim celu wciągnięto do banku włościańskiego fundusz użyteczności publicznej? Wszak bank włościański rozporządza nie jakimś określonym, wydanym ze skarbu kapitałem, lecz kapitałem, otrzymywanym ze sprzedaży listów zastawnych, które winny zabezpieczać całą pożyczkę, z jakichbykolwiek źródeł pochodziła. Czyżby — jak powiadają — dlatego jedynie wzięto ów fundusz, ażeby — wobec konieczności uposażania w pożyczki według osobnego szacunku — od istniejących w cesarstwie przepisów ogólnych (art. 20 uchwały o banku włościańskim) nie odstępować i ze środków banku wyższej nad 75% nie użyczać zapomogi przy osobnem ziemi oszacowywaniu? Ależ sama różnorodność ekonomicznych i gruntowych warunków w Kraju nadwiślańskim już nadaje prawo do takiego odstępstwa — nawet go wymaga.

„Mniemamy, że fundusz użyteczności publicznej, nie stanowiąc części pożyczek, mógłby być używanym dla tychże gruntów i dla tychże osób (nabywających ziemię w Kraju nadwiślańskim), lecz w innej formie, dla samego banku włościańskiego dodatniejszej — formie kredytu melioracyjnego, który i będzie, i jest potrzebnym, i którego dobroczynne skutki znane są w kraju.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr ruski. Bawiąca w naszem mieście trupa aktorów petersburskich w szeregu kończących się występów, dała przedstawienia: dwuaktowej komedyi *Iskierka*, przełożonej przez A. N. Pleszczejewa i trzyaktowej *Dziwny zbieg okoliczności*, pióra A. R...na. Trzy te komedye grano z powodzeniem, wywołując rzęsiste oklaski. Odznaczyli się artyści: pp. Wasiljewa, Warłamow, Czernow, Aleksandrowa, Czystiakow i inni.

Trupa liliputów, złożona z 9-u ludzi łokciowej wysokości, daje przedstawienia w teatrach warszawskich.

Komitet pomnika dla Mickiewicza podpisał umowę z Riegerem.

Prasa. Kandydat nauk przyrodniczych, J. Boguski, uzyskał koncesyę na wydawnictwo tygodnika, poświęconego naukom przyrodniczym, p. t. *Praca*.

— W Piekarach ma być założone pismo polskie p. t. *Gwiazda piekarska*. Nakładcą będzie Szwyder, redaktorem zaś Taczyński.

Bibliografia. E. Jankowski, *Ogród przy dworze wiejskim*, Warszawa, tomów dwa, str. 245 i 458, z rysunkami i tablicami. Jest to książka cenna i w zakresie swego przedmiotu bardzo użyteczna. Autor jest ogrodnikiem naukowym i doświadczonym, a nikt nie może być lepszym od niego przewodnikiem w urządzaniu i pielęgnowaniu ogrodów.

— H. Spencer, *Pierwsze zasady*, tłom. J. K. Potocki, Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 522.

— W. Gomulicki, *Róże i osty*, Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 374.

— M. Dubiecki, *Historya lit. pols.*, zeszyt VII.

— J. I. Kraszewski, *Wizerunki książąt i królów polskich*, zeszyt VI (ostatni).

Pożary. W Nieświeżu pożar zniszczył najpiękniejszą część miasta, oraz całe prawie przedmieście (Nowe Miasto), zaludnione przez ubogich włościan i starozakonnych. Spłonęło przeszło 200 domów. Położenie pogorzelców jest opłakane. Żywność dowożą im ze Słucka i okolicznych wiosek.

— W Daletyczach, gub. mińskiej, pożar zniszczył szereg domów, przylegających do rynku. Wiele rodzin zostało bez dachu i chleba.

— W Zgierzu spaliła się przędzalnia W. F. Zacherta.

Komunikat. P. Gubernator warszawski wydał następujący komunikat: Rozdawnictwo zapomóg pogorzelcom Nowego Dworu i niesienie pomocy nieszczęśliwym, pozbawionym dachu i chleba, których liczba dochodzi do 200, powierzone zostało komitetowi, zajmującemu się dotychczas rozdziałem ofiar na powodzian. Do komisyi tej powołani zostali: prezydujący, naczelnik powiatu, oraz członkowie: proboszcz parafii katolickiej ks. Idziszewski, pastor Berens, burmistrz Lasocki i ławnik Mergentaler. Dalej p. gubernator prosi wszystkich, chcących przyjść w pomoc biednym pogorzelcom, dotkniętym już drugą klęską, aby nadsyłali ofiary do bankiera Goldstanda przy ul. Nowozielnej pod nr. 48.

Taryfa przewozu mąki na wszystkich kolejach żelaznych ma być ujednostajniona; wynosić ona będzie $1/_{60}$ kopiejki od puda i wiorsty. Opłata zaś za przewóz mąki do granic, przeznaczonej do wywozu za obręb państwa, zostanie o 10% zmniejszoną.

Zakaz. Zalecono radom lekarskim, żeby wzbroniły surowo aptekarzom wydawania bez polecenia lub recepty lekarza kokainy i antipiryny.

Najwyższe zezwolenie udzielonem zostało na otworzenie giełdy w Jelcu.

Z Poznania. Odpowiedzialny redaktor *Wielkopolanina*, Józef Gertig, został skazany przez sąd ławniczy na 50 marek kary za obrażenie urzędnika.

W Pułtusku otwartą została kasa pożyczkowo-wkładowa miejscowych przemysłowców.

Ruda żelazna została odkrytą pod Jastrzębiem, przy kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej. Eksploatacya jej ma być niebawem rozpoczętą.

Spis jednodniowy ludności m. ma się odbyć w połowie lipca r. b.

Biuro międzynarodowej wystawy powszechnej paryskiej otwarte już zostało w Petersburgu. Do rozporządzenia wspomnianego biura dla ruskiego oddziału oddano około tysiąca metrów kwadratowych. Za metr miejsca na wystawie biuro pobierać będzie 150 rs., z urządzeniem na własny koszt szyb, jeżeli te okażą się potrzebne. Przedmioty przeznaczone do wystawienia, w celu zmniejszenia kosztów przesyłki, będą w miarę możności kierowane drogą morską. Dla zaoszczędzenia miejsca, postanowiono urządzać nie oddzielne wystawy, ale łączyć wyroby kilku wystawców w jedną całość.

Gaz. warszawska rozpocznie drukować „Dawisona pierwsze lata w zawodzie dramatycznym“ przez J. I. Kraszewskiego.

Wychowańcy Instytutu rolniczo-leśnego w Marymoncie urządzili sobie w Warszawie zjazd koleżeński.

Uniwersytet boloński obchodził uroczyście 800-ną rocznicę swego istnienia.

Festival (tak nazwano po polsku), zabawa we Frascati, przyniosła na korzyść Towarzystwa muzycznego 900 rs.

Stowarzyszenie subjektów handlowych wyznania mojż. urządzi warsztaty rzemieślnicze dla dzieci i krewnych członków. Myśl dobra i bardzo pożyteczna.

Dozwolono kobietom wstępować do aptek w charakterze uczniów, po przedstawieniu świadectwa znajomości kursu czterech klas gimnazyów męzkich, tudzież języka łacińskiego z tym warunkiem, ażeby po ukończeniu zajęć praktycznych w aptekach, egzamin i udzielanie stopni pomocnika aptekarskiego i prowizora odbywało się przez wydziały lekarskie lub Akademię wojenno-lekarską i ażeby potrzebna do pozyskania tych stopni nauka, nabywaną była w drodze prywatnej i nareszcie, ażeby apteki, przyjmujące uczenice, nie trzymały uczniów.

Naczelnik inspekcyi wodnej na rzekach: Wiśle, Narwi i zachodnim Bugu, kapitan marynarki Gerbel, wydał — jak donosi *Kur. por.* — następujące rozporządzenie do właścicieli parostatków: 1) statki osobowe, nie jak dotychczas w święta i dni galowe, lecz stale powinny jeździć z flagą; 2) napisy z nazwami, znajdujące się na t. zw. tumbrach parostatku, mają mieć nazwy wypisane tylko w języku ruskim — termin zmiany napisów naznaczony do 13 listopada r. b.; 3) na przodzie parowca ma być wypisane nazwisko właściciela; 4) wszystkie napisy, znajdujące się na pokładach parostatku i w kajutach, mają być wypisane w języku ruskim — termin wykonania tego rozporządzenia naznaczono do dnia 27 b. m.; 5) od roku przyszłego wszystkie parostatki mają mieć miarę w calach angielskich, wypisaną na przodzie, w środku i z tyłu parowca, ażeby można widzieć przy zanurzaniu się jego, jak głęboko idzie w wodę. W końcu rozporządzenie zwraca uwagę na czyste utrzymywanie parowców osobowych.

Awizacye pieniężne muszą być własnoręcznie podpisane przez adresata i władza policyjna poświadczać będzie własnoręczność podpisu tego ostatniego, nie zaś rządcy domu, jak to dotychczas było. Własnoręczność owego podpisu ma być poświadczoną nawet i wtedy, gdy adresat daje upoważnienie do odbioru komu innemu. Niezależnie od przyłożenia pieczęci cyrkułowej, awizacye te muszą posiadać podpis komisarza lub jego zastępcy.

Fałszerstwo. W miasteczku Szkłowie, w gubernii mohylewskiej, wykryto tajemną fabrykę podrabianej herbaty, którą wysyłano w paczkach, opatrzonych etykietami firm moskiewskich, do gubernij północnych i południowo-zachodnich.

Kontrola państwa zaleciła podwładnym sobie instytucyom, aby te występowały z procesem cywilnym przeciw fałszerzom herbaty do wysokości straconych opłat celnych.

Szkoły. Zarząd Uniwersytetu warszawskiego zawiadamia, że na mocy Najwyżej zatwierdzonego postanowienia Rady państwa, opłata za słuchanie lekcyj w uniwersytecie warszawskim zostanie podwyższoną z początkiem roku szkolnego 1888/9 do wysokości rs. 100 rocznie. Będzie ona pobieraną jedynie od tych studentów, którzy wstąpią do uniwersytetu warszawskiego z początkiem roku szkolnego 1888/9.

— W niektórych seminaryach duchownych Cesarstwa wprowadzony jest od pewnego czasu kurs medycyny. Obecnie, jak donoszą dzienniki petersburskie, wykład jej ma być wprowadzony do programu naukowego wszystkich seminaryów duchownych.

— Złote medale otrzymali: dr medycyny uniwersytetu berlińskiego, K. Kantanecki, za rozprawę konkursową z anatomii i kandydat nauk matematycznych uniwersytetu warszawskiego, L. Daczekowski, za rozprawę z mechaniki nieba.

Mianowanie. Naczelnikiem wydziału banku włościańskiego w Warszawie ma być mianowany r. st. Tiełow.

Z Krakowa. Opuścił katedrę uniwersytetu profesor Edward Firlch.

— Maryan Sokołowski zamianowany został zwyczajnym profesorem uniwersytetu w Krakowie.

Komisya kolonizacyjna nabyła dwie wsie w powiecie węgrowskim, liczące przeszło 500 morgów ob-

szaru, własność hr. Mycielskiej ze Smogorzewa. Temuż losowi ulegnie zapewne majątek p. Antoniego Raczyńskiego z Krzesin, Obra, pod Walentynem, o którą komisya kolonizacyjna już dobija targu.

Wobec obfitości ofert, komisya, która z początku nabywała, co mogła i drogo, stała się wybredną i zakupuje obecnie tylko takie majątki, które odpowiadają najlepiej jej celom, dając zarazem rękojmię dobrego interesu pieniężnego. W ostatnich czasach kupiła ona szereg najpiękniejszych włości, zawierających co najmniej 8,000 morgów, przeważnie w powiatach gnieźnieńskim, wągrowieckim i średzkim.

Zapis. Zmarły w Warszawie Karol Hilgen zapisał testamentem 40,000 rs. Towarzystwu sztuk pięknych w Królestwie Polskiem.

Rada państwa pozwoliła Bankowi państwa i jego filiom, udzielać, przy pośrednictwie kolei żelaznych, zaliczek w ciągu lat trzech na zboże oddane kolejom.

Wydaleni. Na mocy rozporządzenia ministeryum spraw wewnętrznych, orzekającego, że żydzi poddani zagraniczni, którzy nie posiadają osobnego pozwolenia na prowadzenie handlu i przemysłu w państwie rusklem, powinni je opuścić, wydalono z Kalisza kilkunastu żydów.

Przytułek dla inwalidów kolejowych ma być otwartym w r. b. we wsi Orchowa (za Bugiem). Na początek pomieści on 28 rodzin inwalidów i 28 kawalerów. Przy zakładzie znajdować się będzie szpital, apteka, szkoła i warsztaty.

Koleje. *Dzien. minist. dróg i kom.* zawiadamia, że sprawa połączenia miasta Humania torami kolejowymi z koleją Charkowską, z Koziatynem, oraz z Wapniarką, stacyą kolei południowo-zachodnich. została zdecydowaną i budowa ma się rozpocząć w roku bieżącym.

Zmarli. Jan Antoni Hollak, b. profesor Instytutu leśnego w Nowej Aleksandryi (Puławach).

— Władysław Badeni, członek wydziału krajowego i szef departamentu komunikacyi, zmarł w Gleichenbergu.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Іюня 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.